ŚWIAT

Nr. 43
24. X. 1936
CENA 1 ZŁ.

OPERA WARSZAWSKA ROZPOCZĘŁA SEZON UROCZYSTEM I PIĘKNEM WYSTAWIENIEM OPERY ST. MONIUSZKI „STRASZNY DWÓR"

NA FOTOGRAFJI P.P. HUPERTOWA, MOSSAKOWSKI, KARWOWSKA.



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 43 24. X. 1936

L. CHRZANOWSKI.

KOMORNICY

Sekwestrator — ciężki zawód. Przykry fach.

Trzeba mieć zdrowe nerwy i... wytrenowane serce, by przyoblec szaty komornika. Bo niezawsze „pan komisarz“ ma do czynienia ze złą wolą, kombinatorstwem, wykrętem. Często, jakże często spotyka się z ludzkiem nieszczęściem!

Ciernie zawodowe doniedawna rekompensowały „róże“ zarobków. Dziś i to się skończyło. Tak przynajmniej oświadczył jeden z wybitnych warszawskich komorników interwiewującemu go dziennikarzowi. Dziś, nagle — mamy niemal „dzień komornika“.

Władze stanęły „frontem do komisarzy“ i jak informuje prasa codzienna, nakazano lustrację kancelaryj komorników, w związku z aresztowaniem trzech egzekutorów.

Proces radomski niezbyt korzystne światło rzucił na występujących w nim komorników. Radomskie praktyki wogóle do bolesnych refleksyj mogą nas skłaniać. Jeśli dziś — jak zawsze nie uogólniając — piszemy o przestępstwach niektórych komorników, to przedewszystkiem dlatego, że w interesie państwa, do podobnych przestępstw winna być stosowana specjalna karalność.

To są przestępstwa, które drażnią, które prowokują masy. Trzeba się stykać, trzeba mówić z chłopem, z rzemieślnikiem drobnym, aby zrozumieć oburzenie tego ultra-szarego obywatela. On z dekretem niewiele ma wspólnego, w decyzję takiego, czy innego urzędu niezawsze wnika; on ma do czynienia tylko z władzą, która od niego bierze, egzekwuje pieniądze.

On wie, że w imieniu państwa jego krowę sprzedał mu komornik. On wie, że z postanowienia urzędu jego komodę, krzesło zlicytował komornik. I nagle tego egzekutora prawa widzi na ławie oskarżonych za defraudację! Tego w symplistycznym uproszczeniu nie rozumie ten „szary człowiek“, nie rozumie i złorzeczy. Komu? Państwu i kontroli. Tak jest, *przedewszystkiem kontroli!*

Chłop może z czasem przeboleć zabranie mu krowy za podatki. Ale nie przeboleje jej, skoro się dowie, że te krwawe kilkadziesiąt złotych nie do kasy państwowej, ale do kabzy defraudanta popłynie. Więc złorzeczy kontroli. A komunistyczny agitator czuwa. Ma uproszczone zadanie. Może siać ziarna nieufności do państwa obu rękami!

Zapobiedz tej siejbie moze nietylko wzmożona kontrola. Nietylko jawność karalności, jaknajpowszechniejsze piętnowanie i ogłaszanie wyroków. Zapobiedz temu może również wyrównanie strat państwu. Wyrównanie przez oskarżonych i czynniki do kontroli wyznaczone. Skoro komornik ukradnie pieniądze dla państwa, a więc na budżet przeznaczone, powstaje luka. Luka duża, lub mała, zależnie od przestępstwa. Kto ją winien wyrównać? Nie państwo i nie my, podatnicy, przez brak kontroli poszkodowani. Jeżeli przestępca sam nie jest w stanie pokryć strat — winni z nim solidarnie odpowiadać ci, co przez niedbalstwo, niefachowość, protekcjonizm, lub brak odwagi umożliwili powstanie przestępstwa pobłażliwą kontrolą i złym nadzorem.

Jeśli obywatel „pod karą do 500 złotych“ *ma* się stawić w urzędzie o wyznaczonej godzinie dla dawania wyjaśnień; skoro obywatelowi za opóźnianie wpłat wyznacza się kary; skoro sekwestruje się majątek przestępcy prywatnego, a czasem politycznego, by zabezpieczyć straty ludzi prywatnych lub państwa — to dlaczegóżby nie można sekwestrować i ściągać kar od tych, co pieniądze państwowe przywłaszczyli, lub nie dopilnowali, aby do kas państwa wpłaty wpłynęły!

Tembardziej, że wpłynęłoby to niewątpliwie na wzmożenie kontroli, a więc na zmniejszenie przestępczości. Aby komornik w swej ciężkiej i przykrej funkcji nie spotykał kamieni na swej drodze — musi mieć autorytet. Aby go miał, musi domagać się, by parszywe, przestępcze owce były specjalnie surowo karane, musi również jako cała kategorja urzędnicza solidarnie pokrywać państwu straty. Były wypadki, że rejenci pokrywali straty klijentów za rejenta, adwokaci za adwokata — niech się stanie uzusem, że za skradzione pieniądze, pieniądze zebrane dla państwa, odpowiadają finansowo ci, co je wyegzekwowali i ci, *co nie dopilnowali, by do kas rządowych dotarly.* A wówczas kontrola, żadna kontrola nie będzie wykrywała takich tragicznych przestępstw, jak radomskie. Przestępstwa te znikną.

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"

MASKOTA POMOGŁA



Znakomity włoski automobilista, Nuvolari, zdobył pierwszą nagrodę i 90 tysięcy dolarów w najtrudniejszym wyścigu świata, w Long Island pod Nowym Jorkiem. Fenomenalna klasa Nuvolariego zwyciężyła bezapelacyjnie — pobił on na głowę wszystkich konkurentów, prowadząc bieg w fantastycznem tempie od startu do mety, i osiągając na niezwykle trudnym terenie prze..ętną szybkość przeszło 106 kilom. na godz. Zdjęcie nasze przedstawia Nuvolariego na chwilę przed startem. Właś.ie znana śpiewaczka amerykańska Marion Claire podar.wała mu maskotę, i świetny sportsmen dziękuje z błyskiem radości w oczach.



Norma Shaerer fika koziołki — i demonstruje swój trening przyjaciółce swojej, Merle Oberon. Norma twierdzi, że niema skuteczniejszego sposobu na zachowanie smukłej linji i młodości ciała. Zdjęcie nasze robione było na kilka dni przed śmiercią Irvinga Thalberga, męża Normy. Dziś może piękna gwiazda nie bawi się już tak beztrosko...

POCZĄTEK JESIENNEJ SESJI SĄDOWEJ



W Londynie odbyła się tradycyjna defilada sędziów w historycznych strojach, na mszę do Opactwa Westminsterskiego.

MODA W PARYŻU



Futra na całej linji! Kapelusz z sealskinów, z zawadjackiem piórkiem — i takiż sealskinowy płaszczyk oryginalnego kroju — otwarty z przodu z tyłu długi jak męski frak.

POŁÓW PEREŁ



Kto ma działać?

Chodzi o sprawę bardzo ważną — bo wynoszącą półtora miljarda złotych. O rewindykację wkładów obywateli polskich w rosyjskich kasach oszczędnościowych. Setki tysięcy poszkodowanych czekają od lat kilkunastu na załatwienie tej sprawy — która jest i dla gospodarki państwowej sprawą nieobojętną.

Półtora miljarda złotych — w naszych warunkach...

Oto, co pisze „Słowo" wileńskie w tej kwestji:

„Cynizm naszej biurokracji przeszedł wszelkie granice. Na podanie, dotyczące interesów pół miljona obywateli, odpowiedziało się w ten sposób: „Ministerstwo Skarbu wyjaśnia, że na mocy artykułu XVII Traktatu Ryskiego rząd rosyjski zobowiązał się zwrócić wkłady, złożone przez obywateli polskich w b. rosyjskich państwowych kasach oszczędności. Jednakże rząd polski żadnych pieniędzy na zaspokojenie pretensji właścicieli tych wkładów od rządu rosyjskiego nie otrzymał".

„Więc jeżeli się zobowiązał — pisze „Słowo" — i nie dotrzymał, to kto ma zabiegać o to, do wszystkich djabłów? Czyjże to jest obowiązek?"

A, fe... Cat jest energiczny, szczery, — ale brak mu poczucia hierarchji.

Cóż to za niedyskretne pytanie! I wogóle — czyż my, podatnicy, mamy prawo w stosunku do rządu wymawiać słowo — *„obowiązek"?*

Czy nie zawcześnie?

Wiadomo, że Polska buduje własny pawilon na paryskiej wystawie międzynarodowej. Może to dobrze, może nie. W każdym razie przygotowywać się trzeba było już od dłuższego czasu — bo termin otwarcia bliski.

Ale u nas zwykle następuje szalony pośpiech... po trzecim dzwonku.

Zgodnie z tym obyczajem czytamy o ogłoszeniu konkursów artystycznych na ozdobienie naszego pawilonu.

Konkurs na projekt gobelinu — ma termin *dwutygodniowy.*

Konkurs na wnętrza mieszkalne — termin — *jednomiesięczny!*

Już może lepiej było ogłosić powyższe konkursy całkiem po terminie, a oddać odrazu robotę przyjaciołom.

Paryż leży blisko Wersalu

Otworzywszy „Le Matin" z dnia 14 października, czytam z rozrzewnieniem taki komunikacik w dziale „Osobiste".

„Pan Jan Zay, minister wychowania narodowego, ku swemu wielkiemu żalowi nie będzie mógł w dniu dzisiejszym przyjmować interesantów w godzinach rannych, gdyż w tej porze odbywać się będzie posiedzenie Rady Ministrów. Zwykłe audjencje przeniesione więc zostaną na pojutrze".

„Niema się czem wzruszać" — powie ten i ów.

„Nadmiar łaskawości dla interesantów" — zauważy zwolennik „silnej władzy".

Może...

A ja się właśnie rozmarzam na samą myśl o tem, że — kto wie — może kiedyś — no, nie zaraz — ale w przyszłości — zapanują i u nas takie wersalskie manjery w urzędach...

Uprzejmość — to taki tani towar. Stać na nią — nawet nędzarzy. Ten towar ostatnio bardzo u nas wyszedł z użycia. A takby mógł nam wszystkim uprzyjemnić egzystencję.

Na szczudłach

Najstraszliwszą cechą naszej epoki nie jest w Polsce ani kryzys, ani nadmiar podatków, ani upadek kultury, — choć są to niewesołe atrybuty naszej rzeczywistości. Najstraszliwszą cechą naszej epoki jest — zakłamanie. Przeczytajmy, co w jednem z wydawnictw tygodniowych pisze na ten temat uczennica klasy czwartej — (wyjątkowo na swój wiek inteligentnie, przyznać trzeba). Pisze ona w obronie młodego pokolenia:

„My Polskę też kochamy, napewno nie mniej niż starsi, i chciałybyśmy, żeby miała silne wojsko i była potężna. Ale o tych rzeczach trudno myśleć na obiad, na podwieczorek i na kolację, tak jak nam każą. Na matematyce mamy Polskę, na historji Polskę, na geografji Polskę, na łacinie Polskę, na gimnastyce Polskę, na przyrodzie Polskę, wszędzie orły, wszędzie entuzjazm. Czy nauczyciele nie wiedzą, że nawet najlepsze ciastka zbrzydłyby dziewczynie, gdyby je jej wtłaczać w wielkich ilościach, i przez mus, i na komendę? My chciałybyśmy żyć wielostronnie, a wychowują nas tak, jakby w życiu brak było dnia codzienego i całe życie spędzało się na szczudłach. Wolałybyśmy żeby już każdy nauczyciel mówił co innego, ale szczerze, tak jak myśli, bez udawania i bez szczudeł...".

Nieszczęsne „ciało nauczycielskie"... Przecież nie ono stwarza programy, „kierunki" i „ideologje"... Stwarzają je przeważnie ludzie, którzy o wychowaniu sami mają mało wyobrażenia. Specjaliści od frazesu, od parad i obchodów, od uroczystych pił i „mocarstwowości".

Tak się jakoś złożyło, że zaraz po przeczytaniu wymownego protestu owej dziewczynki „uparty nurek" otworzył książkę telefoniczną. Pierwszą „firmą", którą znalazł przed oczami był:

9-99-26 INSTYTUT PROPAGANDY PAŃSTWOWO - TWÓRCZEJ. Mochnackiego 27.

Ki licho?

Do czego to jest?

Cały „Instytut" jeszcze nam do tego potrzebny?

Co robić, żeby czytali?

Wiadomo, że nakłady książek polskich są zawstydzająco niskie. W Państwie 35-miljonowem uważa się, że powieść w 1.500 egzemplarzach — to nakład normalny. A i ten dziadowski nakład jeszcze się nie rozchodzi...

W Ameryce za nakład najniższy poczytuje się 10 tysięcy egzemplarzy *sprzedanych rocznie*. Jeżeli książka tej cyfry nie osiąga — idzie na kurację. To znaczy, że najczęściej zmienia się jej... tytuł i okładkę. Jaskrawa okładka i sensacyjny tytuł — powodzenie zapewnione.

Możeby i u nas tym systemem zacząć leczyć „kamienie", zalegające półki wydawców?

I pracuj tu dla kobiety!

Mija właśnie ćwierć wieku od popełnienia jednej z najbardziej fantastycznych kradzieży naszych czasów.

We Władywostoku mieszkał niejaki Włodzimierz Storoskin, kolejarz. Zakochał się bez pamięci w pewnej dziewczynie, — i chciał dla niej zdobyć majątek. Na kolei — wiadomo — nie tak łatwo. Postanowił więc pomóc losowi.

Dłubał więc z nieprawdopodobną cierpliwością pod gmachem rosyjskiego Banku Państwa podkop — a robota ta trwała *sześć lat!* Pracował zupełnie sam, obawiając się niedyskrecji ewentualnych wspólników. O zbrodniczych zamiarach narzeczonego nie wiedziała nawet jego ukochana.

W lecie roku 1911 podkop był gotów — i Storoskin, dostawszy się nocą do banku, zdołał ukraść ni mniej ni więcej — tylko 48 miljonów rubli. Wyniósł ten skarb w kilku workach i zakopał starannie w swym ogródku. Poczem, dla niepoznaki wcale nie zmieniał trybu życia... Przyczaił się i czekał.

Ale miłość do narzeczonej była silniejsza — i skusiła nieszczęśnika do sprawienia ukochanej kilku kosztownych prezentów: parę futer, piękny pierścionek. Wreszcie, w chwili wyznań poufnych — opowiedział swej dziewczynie, skąd ma pieniądze.

Kobieta — nie wytrzymała. Wygadała wszystko.

W parę dni potem Storoskin został aresztowany — a policja odnalazła jego skarb. Bank odzyskał prawie wszystko — z 48 miljonów brakowało raptem kilkuset rubli.

Po odsiedzeniu paru lat więzienia włamywacz z miłości ożenił się ze swą ukochaną — wrócił na swe skromne stanowisko kolejarza — i nigdy się już nie splamił najmniejszem nawet przewinieniem.

A ta, której gadatliwość odebrała mu 48 miljonów, ale przywróciła spokój sumienia — jest dotąd jego wierną i szczęśliwą małżonką.

Niedojrzałe winogrona

Niefortunny Nemrod do szczęśliwszego towarzysza:

— Widzisz, bo ja właściwie poluję tylko dla zabicia... czasu.

Czem nas trują?

Między innemi — solą. Zresztą bez żadnej winy Monopolu Solnego, oczywiście. Nawet z jego wyraźną szkodą. Bo oto ujawniono *miljonowe nadużycia* hurtowników solnych, działających na szkodę zarówno Skarbu Państwa — jak i zdrowia konsumentów.

Poprostu panowie Krybus i Szwarcman w Łodzi, hurtownicy solni, przyszli do wniosku, że bardzo jest łatwo domieszać do soli jadalnej — skażoną sól kąpielową albo przemysłową. Ta ostatnia, zgodnie z przepisami, bywa skażana naftą. Że nafta nie jest produktem spożywczym — panowie Krybus i Szwarcman wiedzieli aż nadto dobrze. Ale miljony — i to grube — które w ten sposób zarabiali, działały znieczulająco na ich wrażliwe, przypuśćmy, sumienia.



Skarb Państwa stracił w tym interesie powyżej pół miljona złotych. Straty zdrowia obywateli nikt w złotych obliczyć nie zdoła. Sprytni aferzyści siedzą dziś na ławie oskarżonych.

Jak donosi ABC — analogiczna afera ujawniona została w Warszawie, gdzie zupełnie podobnych machlojek dokonywała pewna firma, narażając Skarb na stratę powyżej 4 miljonów złotych w ciągu czterech lat.

Pod gazem

Wstawiony: „Hej, człowieku, a zawołajże mi taksówkę!"

Przechodzień (obrażony): „Nie jestem pańskim służącym! Jestem oficerem marynarki, mój panie."

Wstawiony: „Przyjacielu kochany, nic nie szkodzi... To mi zawołaj torpedowiec... Mnie to wszystko jedno... Aby się dostać do domu".

Czy wiecie, co to dożynki?

No, jakżeby! Śpiewy, tańce! I „plon niesiemy, plon". I radość z dobrych zbiorów! I poczęstunek i zbratanie!

Tak jest w Polsce.

A w Niemczech — zupełnie inaczej.

Dożynki tegoroczne, dożynki oficjalne, państwowe, z udziałem najwyższych władz — to nie były śpiewki ani tańce, jak choćby u nas w Spale. To były natomiast defilady czołgów, bombowych samolotów, i ciężkiej artylerji.

Wiadomo — ze zbożem tam coraz biedniej — zato z czołgami coraz obficiej.

Może i słusznie, że takie były dożynki.

Logika

Pewien anglikański pastor odwiedził przyjaciela. Ów pyta: „Może zechcesz whisky and soda? Zaraz każę podać".

— Nie, dziękuję — odpowiada pastor. Nie mogę z trzech powodów: po pierwsze zmartwiłbym moich drogich przyjaciół z Towarzystwa Abstynentów. Po drugie — zabrania mi pić moja najmilsza małżonka. Po trzecie — właśnie przed chwileczką wypiłem whisky and soda...

Uparty nurek.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

CO WIDZIAŁAM I CZEGO NIE WIDZIAŁAM W BUŁGARJI

Żniwo róż w Bułgarji

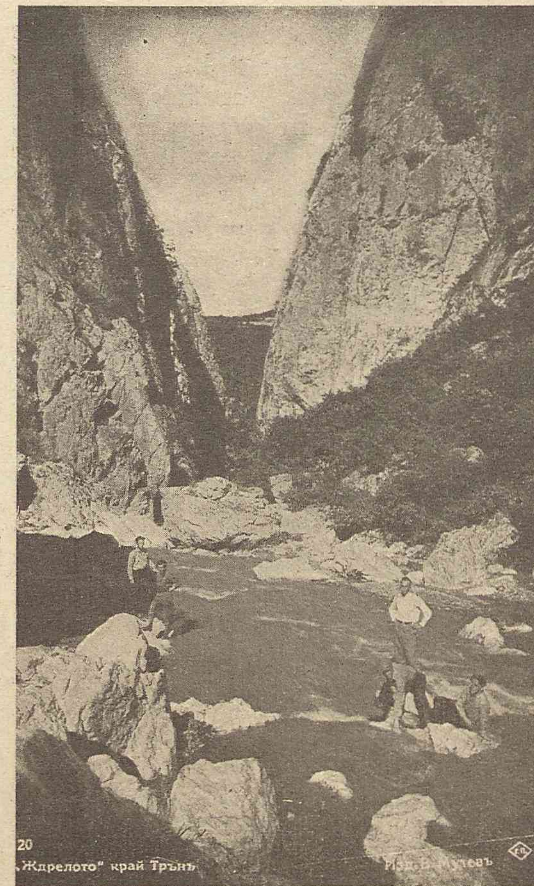
Nie, nie byłam w Rile. Nie widziałam ani potężnego czworoboku klasztornego, w kotlinie, wysłanej lasem od dna do szczytów, ani gór Rilskich, które zimowe zawieje zmieniają w serje śnieżnych, olbrzymich diun, poprzerywanych, jak wieżycami, stromo sterczącemi, nagiemi skałami. Nie zsuwałam się po zboczach, osypujących się pod nogą, do Szóstego Jeziora, wyglądającego tak, jakby było kraterem wulkanu, kiedyś napełnionym wodą, a potem niedopitym przez potężnego, apokaliptycznego, starosłowiańskiego witezia. Nie widziałam, nie byłam.

Ale zato jechałem przez góry Bałkańskie, Starą Planinę, koleją, żłobioną w głazie kilkudziesięcioma tunelami. Dęby, oskubane, podobne raczej do ostrzyżonych topoli włoskich, niż do dębów, czepiają się tam ostrych, kamienistych gruntów skalnych. Chałupy, białokamienne i chałupy lepione z gliny i chrustu rozbiegają się po stokach gór, lub osiadają nad rzeką Jantrą i jej licznemi dopływami. Sady, sady, sady na wszystkich żyźniejszych gruntach: sady i pólka po słonecznikach i kukurydzy, po dyniach, arbuzach i melonach. Kopce wielkich dynich brzuchaczy i melonich grubasów leżą przed kurnemi chatami. „Poco? Przecie to zgnije". „Nie zgniją", zapewnia konduktor. „To zapas na zimę".

Drogi wyglądają jak wyschłe dna potoków; z kamienia na kamień ciągną cierpliwe popielate woliska, o rozłożystych rogach, malowane podłużne czworoboki bryczek kałamaszek. U nas, na Inflantach wózki takie nazywa się również karafaszkami. W Bułgarji są one całe zdobione malaturą w kwiaty, ptaki, słońca i gwiazdy. Nieraz mają przemyślny dach z pałąków i barwną tkaninę na nim rozpiętą od słońca, lub płótnisko — od deszczu. Czasem, zamiast wołów, bawoły ciągną bryczki, pnie drzew i wozy ładowne. Brązowo-czarne o pięknych oczach z frendzlastemi rzęsami, mają rogi wprost od twarzy grzecznie zaczesane do tyłu, co im nadaje nieopisanie cnotliwy i pogodny wyraz. To tylko pozory. Bawoły bywają złe, niebezpieczne, a pozatem nienawidzą samochodów i rzucają się na nie z furją.

Koniki bułgarskie są mocne, łagodne, pysznie zbudowane, zupełnie podobne do naszych „chłopskich", tylko bardziej arabskie w typie. Zwinne, lekkie, wytrzymałe, raźne i niepłochliwe, stanowią przyjemną a nieodłączną część krajobrazu wiejskiego, czy miejskiego, liczniejsze nawet od osiołków, mniej liczne od wołów. Ubrane w „duhę" jak u nas, na Litwie, stoją cierpliwie w zaprzęgach chłopskich, na rynkach, w Sofji czy Filipopolu, lub paradują pod jukami, do pary nieraz z kilkoma osiołkami, i te i owe w ślicznych obrożach z kolorowych paciorek, na wyprzódki ze stadkiem baranów czy kóz, poganiane przez bosą wieśniaczkę.

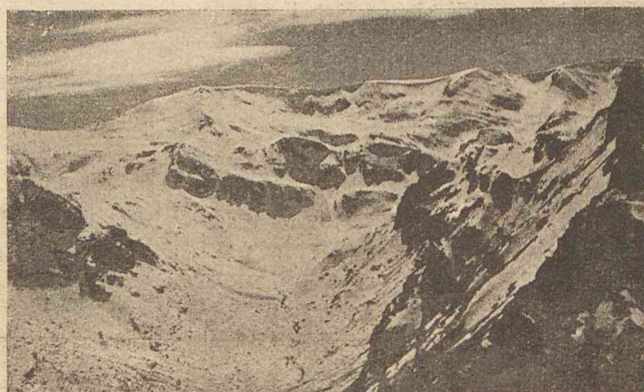
Jeszcze zabawniej wygląda stadko owiec, śród których pasie się jeden, jedyny osiołek. Tyle takich stad widziałam w Bułgarji, a zawsze zapominałam się zapytać, do czego ów osiołek starosta ma służyć, poco jest ten attachat ośli przy baraniem gronie. Charakterystycznem też jest, że w Bułgarji pasą osły i konie razem z wołami i krowami. Jakoś to chodzi społem zgodnie, ale dla polskich oczu wygląda nieco obco. W każdym razie najwięcej się spotyka — podróżując po kraju — owiec. Ich ciasne siłoczenie, kudłatość, tłuste, majdające się w spłoszonym, szybkim biegu, ogonki, ich nieco błędne oczy i pytające dzwonienie i beczenie z widzialnych i niewidzialnych wzdłuż drogi pastwisk, należy do tła, na którem podróżny ostrzej jeszcze spostrzega góry i orły, obłoki i winnice, to, co jest niejako krajobrazu arystokracją.



Jar koło Trna



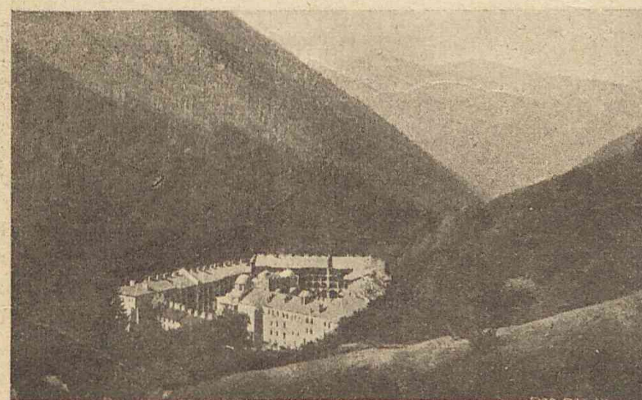
Bawoły w zaprzęgu



Góry Rilskie (2935 metrów)



Dojenie owiec



Klasztor w Rile

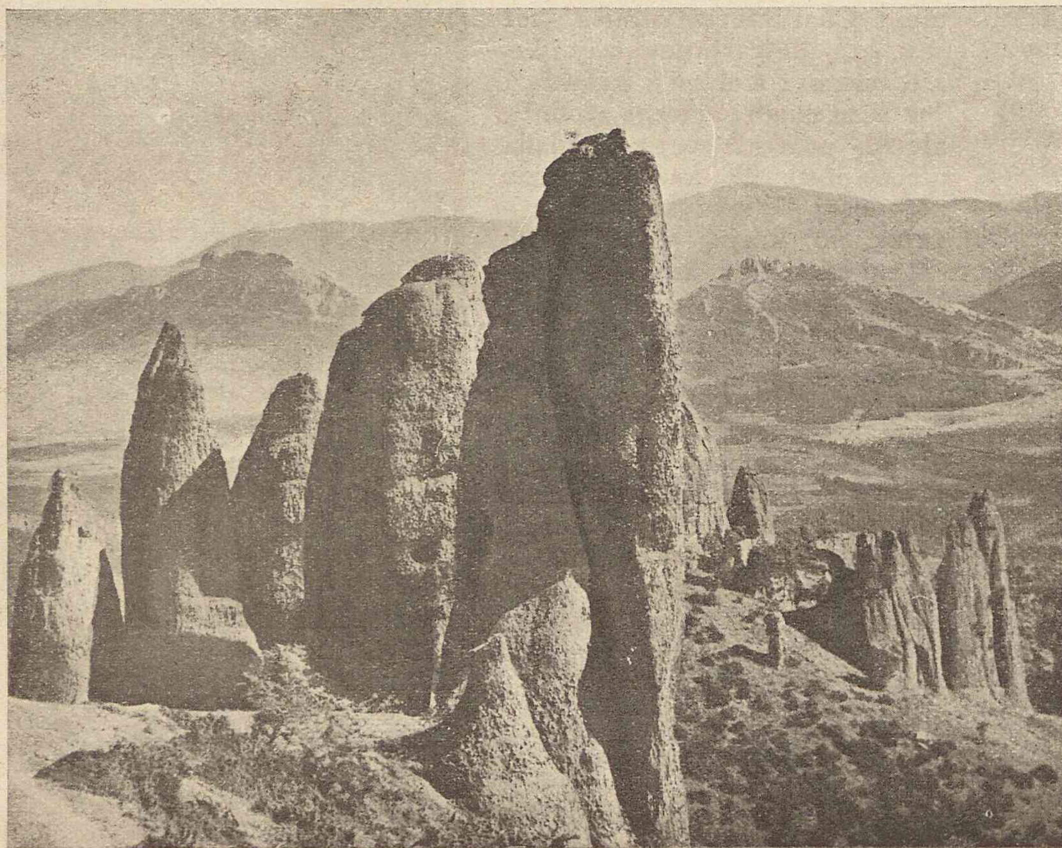
Nad przepaścią na cierniach zawisł
baranek dni kilkunastu.
Trzymając się kamieni i trawy
zdjął go młodzieńczy pastuch,
Schodził — smagły pod jasnem słońcem —
z jagnięciem na ręku beczącem.

Pozostała i teraz rośnie
na zboczu skał niebosiężnych,
piosenka, uwikłana w zaroślu,
o małym dwoneczku mosiężnym,
zdjętym jagnięciu z szyi.
Uwikłała się i dotąd żyje.

Gwiazdy i słońca i księżyc
wyryła ręka snycerza
na bułgarskim dzwoneczku mosiężnym,
który jak serce uderza...
Serce przyczepione do skały,
żyjące, bijące, śmiałe.

Gdzie przepaść i wyż i słoneczność
zaczepiła się i żyje i bije
pieśń o bułgarkim dzwoneczku,
zdjętym jagnięciu z szyi...
...A słońce i gwiazdy i księżyc
chwieją się wraz z sercem mosiężnem.

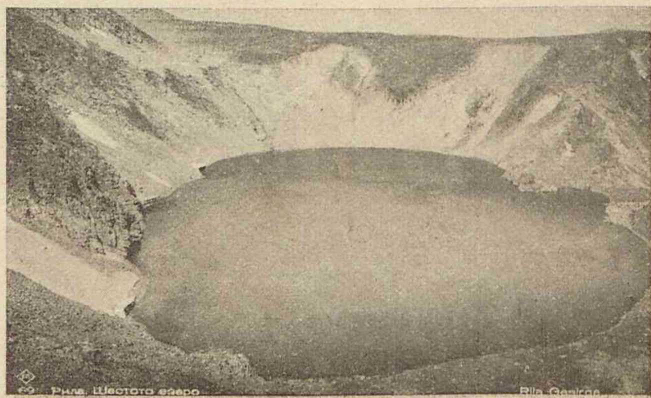
Mniejsza jednak o dzwoneczek! Nie widziałam ani przełęczy górskiej Szipki, ani skalnych słupów, rzeźbionych w czasie i piaskowcu przez wodę i dowy i doskonały zajazd — hotelik, gdzieśmy jedli obiad, którego nie powstydziłby się bar w hotelu Europejskim. Do obiadu zasiedli z nami miejscowi notaolbrzymiego towarzysza jakiejś chorągwi pancernej — przysiadł się do nas i ze czcią i wzruszającą, dziecinną prawie uwagą wpatrywał się w posła naszego w



Skały mnisze w Biełogradczyku

powietrze, koło Biełogradczyka bałkańskiego. Widziałam zato ozdobę Starej Planiny, jar rzeki pod Trnowem, udjademowany przecudnem starem miasteczkiem i spięty mostem kolejowym, który dla mnie zawsze bywa czemś malowniczem, cóż dopiero, kiedy wbudowany jest w tak piękną skalną architekturę, jak bałkańska. I widziałam Trn.

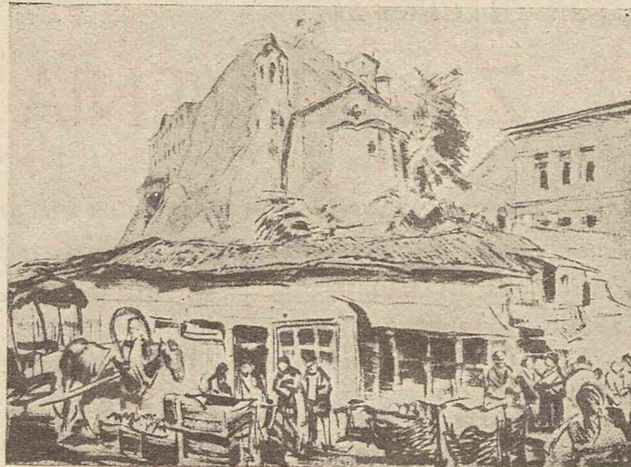
Trn — wymawia się Tern, z bardzo krótkiem „e", co oznacza „cierń", jest to maleńkie miasteczko, wieś raczej, tuż u jugosłowiańskiej granicy, poprostu garść domów, rozsianych po obu stronach kapryśnego strumienia, którego bieg kończy się już w Serbji. Ale ta garść domów ma gimnazjum, wielki, dwupiętrowy gmach, olbrzymi szpital, wzorową aptekę, wielki dom lu-ble, burmistrz, po bułgarsku „kmet", radni, nauczyciel, doktór. Doktór pobierał nauki w w Padwie i można się z nim było rozmówić po włosku. Przepyszny, stary, emerytowany urzędnik celny, podobny z wyglądu do arabskiego szeika lub Sofji, p. Adama Tarnowskiego. „Polski poseł, polski poseł", powtarzał, „Boże wielki, żem ja tego dożył, że mi to jest dane w starości lat moich. I w gazetach czytałem i ludzie opowiadali, ale żeby polski minister miał do Trnu przyjechać i żebym ja z



Jezioro w górach Rilskich

nim jadł obiad — tegom się nigdy nie był spodziewał".

Dorodna kobieta usługiwała nam do stołu, a w przerwach siadała tuż obok i słuchała z zaciekawieniem rozmowy. Ponieważ w Bułgarji służba nie nosi żadnego specjalnego stroju, nie różniła się właściwie niczem od gości. Panowie gadali o polityce. Wyszłam z towarzyszką bułgarką, mówiącą po angielsku, na ulicę, za przewodnika służył mówiący po włosku doktór. Zdaleka, ze zboczy szerokiego jaru, okalającego ramionami miasto, dolatywał brzęk dzwonków owczych. W oknie sklepu z żelazem zobaczyłam śliczne, mosiężne, podłużne, nieregularnie trochę w kształt kielichów ugniecione — dzwoneczki. Za serce każdego dzwoneczka służył drugi, mniejszy, tak umieszczony, że uderzał, dzwoniąc, tylko o same krawędzie — większego, zasadniczego. Kilogram takich dzwonków kosztuje w Bułgarji sto lewa, to jest trochę ponad sześć złotych. A na każdym dzwonku są słońca, księżyce i gwiazdy.



Rynek w Plowdiwie

Nie, nie widziałam zbioru róż, ani jeźdźca tureckiego rzeźbionego w skale Madarskiej... I nic nie przywiozłam z Bułgarji, oprócz dzwoneczka i piosenki o nim.

ODEZWA

KOMITETU ZIMOWEJ POMOCY BEZROBOTNYM

Obywatele!

Zbiorowym wysiłkiem rządu i społeczeństwa zebrane środki na walkę z bezrobociem pozwoliły na zatrudnienie w bieżącym roku kilkuset tysięcy bezrobotnych.

W ciągu wiosny, lata i jesieni trwały roboty publiczne, przysparzając społeczeństwu nowe wartości gospodarcze, powstały linie kolejowe, setki kilometrów szos i ulic, meliorowano bagna, regulowano rzeki.

Zatrudnieni przy robotach, zarabiając na życie, pracą swą powiększali bogactwa Rzeczypospolitej.

Nadchodząca zima i wyczerpanie środków pieniężnych nie pozwalają jednak na dalsze prowadzenie robót w tych rozmiarach, i setki tysięcy żywicieli rodzin pozostanie bez pracy i chleba.

Musimy im przyjść z pomocą!

Samozachowawczy instynkt narodu wzywa wszystkich obywateli gorącego serca, aby na pomoc bezrobotnym złożyli część swego dochodu lub mienia, nie — odczepny grosz litości, lecz dług społeczny.

Z odczucia i zrozumienia potężnego głosu, jakim ów instykt społeczny woła, powstał

OGÓLNOPOLSKI OBYWATELSKI KOMITET ZIMOWEJ POMOCY BEZROBOTNYM

obejmujący przedstawicieli tak rozległych warstw społecznych, jak rozległe są jego potrzeby i cele.

Najważniejszym naszym zadaniem będzie skupienie i koordynacja ofiarowanego wysiłku całego społeczeństwa i zapewnienie w ten sposób najbardziej celowego podziału darów. Chcemy obudzić ofiarną myśl zbiorową, która wyrazi się w powszechnym czynie.

Chcemy wszcząć ruch, który stanie się pospolitym ruszeniem samopomocy społeczeństwa.

Obywatele! Nakaz chwili brzmi:

Wszyscy bierzemy udział w pomocy dla bezrobotnych braci.

Kto się od niej odgrodzi sobkostwem, opieszałością, czy niechęcią, nosić będzie w swym sumieniu poczucie niespełnionego obowiązku.

Dotychczasowe doświadczenia w akcji zbiorowego wysiłku utwierdzają naszą wiarę w gotowość społeczeństwa do ofiar na rzecz dobra powszechnego.

I tym razem nie może być inaczej.

GUSTAW OLECHOWSKI

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW 5)

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

— I pan to tak lekko sobie mówi! Ale jeżeli się tak stanie, to Japonja i was połknie.

— Któż to może przewidzieć? Wszystko może wziąć inny obrót.

— Ale przecież nie możemy siedzieć bezczynnie.

— Albож my siedzimy bezczynnie! Pracujemy jak kto umie.

— Ale do jakiego celu zdążamy?

— Ja do swojego. Pani do swojego.

— Ja mówię o narodach.

— Dajmy pokój polityce. Jesteśmy młodzi. Pani jest czarująca, niezwykła, piękna. W mieszkaniu jest ciepło i widno. Herbata doskonała. Na dworze śnieg. Spokój, cisza. „Verweile doch, du bist so schön". Zna pani ten stary madrygał?

— Sybaryta.

— Niech pani zapomni o wszystkiem. Najmądrzej żyje ten, kto nie pamięta dnia wczorajszego, żyje całą duszą dniem dzisiejszym i pracuje. Wówczas jutro będzie miał znów dobre.

— Nie jesteśmy szczerzy.

— Ja jestem, pani nie.

— Otóż jestem.

— Pani nie odważy się powiedzieć, co pani myśli.

— Owszem.

— Więc co?

Po nerwowej twarzy Niny przeszły płomienie. Przeraziła ją myśl. Skąd się w niej zbudziło to uczucie zażenowania! Czuje, że krew w niej gra. Czuje to samo w nim pod powłoką chłodu.

— Wszystko to próżna gadanina. Kłamiemy obydwoje. Pan pragnie mnie, a ja pana — oto prawda.

Zakryła twarz dłońmi, jakby oczekując, że on ją chwyci w ramiona.

W przedpokoju zatyrkotał przytłumiony dzwonek. Służącego nigdy nie było, gdy miała przyjść Nina. Willy wyszedł do przedpokoju. Nina chwyciła jego fotogram, stojący na stoliku, przycisnęła mocno do serca, a potem do ust.

Willy wrócił. Był zasępiony.

— Wykręcił się pan od nieproszonego gościa?

— Ach nie... Nikt przecież nie przychodzi bez telefonicznego uprzedzenia. Nie. To telegram. Od ojca. Jutro wieczorem przyjeżdża. Nie rozumiem co się stało.

Nina była wytrącona z nastroju.

— Kiedy się zobaczymy?

— A czy pani chce mnie porzucić?

Podeszła do niego i pogłaskała go po twarzy.

— Porzucić. O nie. Ja cię bardzo lubię, Willy. Taki jesteś śmieszny!...

Całował jej dłoń.

— I taki nieśmiały. I taki głupi.

— Powtórz to jeszcze raz, Nino.

— Ślicznie to mówisz. Moglibyśmy być szczęśliwi.

— Pomówimy o tem kiedyindziej. Teraz muszę wracać do Poselstwa i powiedzieć Konspirinowi, że dowiedziałam się od barona wielkiej tajemnicy o żółtem niebezpieczeństwie.

Śmiała się serdecznie. Śmieli się obydwoje.

— Więc kiedy?

— W przyszły czwartek.

Willy ujął ją za ręce, przeciągnął ku sobie. Byli zupełnie równego wzrostu. Dobrana, zdrowa para. Pomyśleli to obydwoje, razem.

— Czytałem raz jakiś taki wasz burżuazyjny głupi romans francuski, gdzie była taka sytuacja, że młoda dziewczyna przychodzi do pewnego pana, który jakiś czas interesował się nią, ale potem nie chciał już jej widzieć, więc ona stała się kobietą publiczną, ale urodziła jego dziecko. Nie wiedząc, co z niem zrobić, udusiła je i poszła pod sąd. Ów pan był w gronie przysięgłych. Gdy ona go poznała, powiedziała całą prawdę. Pan z Jury wyszedł z sali i zastrzelił się.

— Co za nonsens! Poco mi to pani opowiada?

— Drogi Willy, ja pana szalenie lubię, może nawet kocham. Jest mi pan dziwnie bliski. Ale między nami jest przepaść...

— A od czego budowa mostów?

— Takbym chciała, żeby pan był komunistą! W waszym kraju przecież także są komuniści! Dlaczego pan nie miałby nim być. Ja pana chcę uświadomić.

— Tego się nie da zrobić.

— Dlaczego?... A, wiem, pan mnie nie kocha.

— Niech pani jeszcze siada.

Nina drżała. Usiadła z ulgą, bo poczuła osłabienie w nogach.

— Willy, słuchaj, widzisz, jestem szczera. Mnie złość porywa na myśl, że jest coś czego nie można osiągnąć. Jak sobie pomyślę, że wcześniej czy później ty się ożenisz z jakąś burżujką, że będziesz miał dzieci, że nie dziś to jutro rozstaniemy się na zawsze i że już nigdy, nigdy się nie zobaczymy, to chce mi się wyć z bólu. Nie dziw się więc, że jestem ciągle zdenerwowana, że nie mam humoru i że się gubię. I, że choć sama ci mówię takie głupstwa jak dziś, — dlaczego nie pocałowałeś mnie nigdy — ale ja przecież wiem, że nie pozwoliłabym ci na to... Albo to naprz. Dlaczego raz mówię ci pan, innym znów razem po imieniu. I wogóle, Willy, moje życie jest okropne. My, Rosjanie, lubimy dociekać. Korzymy się tylko przed czemś, co jest wielkie, a ja nie widzę w niczem nic wielkiego. Powiem ci otwarcie, czasem wydaje mi się, że nawet Lenin i komuna — to nic wielkiego. Bo jeszcze nie widzę celu tego wszystkiego. Nie wiem, poco żyję. Może to jest dziecińswo, ale niepokoi mnie pyta-

nie — poco? I do czego to zmierza? Masz rację, że jestem prymityw, ale cóż, kiedy ciągle to pytanie— poco?

Baron słuchał z wielkiem współczuciem ale i z wielką radością. Czyż pytanie — poco — nie jest już otwarciem okna na bezkresny horyzont, czyż nie jest krzykiem rozumu, czyż nie wyraża pragnienia prawdy, nieugaszonego dotąd niczem, żadną doktryną, żadną namiastką, żadnym płodem kapryśnego myślenia.

Patrzył na płonącą ogniem duszy i ciała dużą, wspaniałą dziewczynę, zdawałoby się — bardzo mocarną, w istocie słabiutkie stworzenie, które dziś oto, tu na fotelu, płakało z niespokojnych nerwów, niezadowolonych zmysłów, nieuporządkowanych myśli. A teraz skarży się biedactwo, ciemne, otumanione, wyzyskiwane, błądzące, wydziedziczone, nieświadome swej nędzy, zaledwie zgadujące intuicyjnie, że nie znalazło jeszcze swojego miejsca w kosmosie, który jest tak nieograniczony i w którym tak trudno jest się zorjentować co do swego miejsca w czasie i przestrzeni.

— Nino, nie masz pojęcia, jak się cieszę z twoich słów. Widzę w nich cały bezmiar twoich wartości.

Usiadł na taburecie u jej nóg.

— Wszystko ci wytłumaczę, Nino, wszystko dobre przyjdzie w swoim czasie, zawsze i wszystko, co się dzieje, jest potrzebne, jest konieczne, tylko trzeba umieć obrócić to na siłę, przerobić na moc, na spiż. Jakże się cieszę!...

—Czego ty durny się cieszysz? Że ja się męczę!

— Tak, Nino, że się męczysz, bo znajdziesz potem wielkie szczęście w spokoju.

— Kiedy?

— To zależy od ciebie.

— Ode mnie... Czyż jestem niezależna?

— Materjalnie — nie, ale moralnie — tak.

— Zdaje się panu.

I znów pomyślała: — Konspirin.

Położył na jej kolanach pudełko czekoladek.

Jadła łakomie. Jej chore nerwy potrzebowały cukru. Gdy będzie jechała na urlop do Moskwy, zabierze dla matki ogromne pudło cukrów. Konspirin może pozwoli. To się *mamieńka* nażywa! Tak nieraz wspomina dawne czasy, gdy miała słodycze na codzień. Dziś nie ma, bo nikt ich nie ma w Sowietach. Gdy przyjdzie czas, że starczy dla wszystkich, to i ona będzie je miała. Ale teraz nie ma.

Odłożyła pudełko.

— Nie smakuje ci? — pyta Willy.

— Bardzo, ale nie trzeba. Pomyślałam, że *mamieńka* jest tego pozbawiona.

— Poczciwe serce masz, Nino. Ale matka twoja, niestety, pozbawiona jest wielu rzeczy, które ty tu masz.

— Ach, nie mów, dość...

Wstała.

Pragnął ją pocałować.

Ale nie. Nie dziś. Dziś o pocałunku ona mu wspomniała. Wyglądałoby na grzeczność.

Nie.

— — — — — — — — —

W wagonie pierwszej klasy, pociągu zdążającego z Moskwy na zachód, siedział w przedziale sam.

Siwe wąsy opadły mu jakoś niedbale, choć postać cała, duża, czerstwa, pomimo lat siedmdziesięciu dwóch, jaśniała gotowością czynu, energją i bynajmniej nie miała wyrazu opuszczenia.

Na kolanach trzymał spory notatnik, w którym co chwila znaczył liczby, nazwiska.

Roztargniony był, popatrywał w dal przez okno, bez uwagi, nie widząc. Nie interesował się migającym mu przed oczyma światem.

Twarz miał zbolałą, smutną, może nawet złą. Coś jakby cienie wstydu przebiegały po jego oczach i ustach.

Czasem westchnieniem ciężkiem wzniosła mu się i opadła klatka piersiowa, to znów pomruk zniecierpliwienia błądził pod wąsami i nagle zamarł.

Istny koszmar.

Jak ten pociąg się wlecze, choć odrabia sześćdziesiąt na godzinę!

— Aby nie zapóźno!...

Baron Jan van Cornelius jest ojcem holenderskiego *chargé d'affaires* w Danii. Stary baron jest potentatem cukrowym w swoim kraju i ongiś, za lat młodych, jeździł często do Rosji, gdzie zakupywał tysiące wagonów cukru. Ale od kilkunastu lat już tam nie był.

I teraz właśnie licho nadało.

— Nie, nie licho. Coby się mogło stać! Strach pomyśleć.

Aby nie zapóźno, aby nie zapóźno...

Gorączka paliła mu twarz. Jak on wytrzyma taką rozmowę z synem! Okropność. Ale musi mu powiedzieć. Wszystko.

Pociąg mijał stację za stacją, a baron był coraz niespokojniejszy.

Może obawy jegą są płonne. Może nic groźnego nie zaszło. Willy nie jest znów tak bardzo kochliwy. Nie wdał się w ojca. Raczej w matkę, która należała do tego drugiego rodzaju kobiet — nie erotycznych.

— Któż mógł przewidzieć! Taki prawie zwykły epizod młodości. O, jakże nic w życiu człowieka nie ginie. Jak najmniejszy, najdrobniejszy fakt rośnie równo z czasem i jak nabiera ciężaru. Aż dopóki nie nastąpi ekspiacja. Każdy, każdy czyn sam nagradza, albo strasznie karze. Co za konsekwencja losu, tragiczna, nieunikniona!...

— Czyżby nieunikniona?

Z którejś stacji dał depeszę do syna, że jedzie do niego.

Na dworcu już, witając się z ojcem, Willy zauważył w nim jakieś zmiany.

— Musisz być bardzo zmęczony, papo. Moskwa ci nie posłużyła. Źle robisz, że się nie leczysz. Z twoją apoplektyczną naturą...

Ale stary udawał zucha. Musiał udawać, bo strach go trochę obleciał, że już, już trzeba będzie mówić.

(D. c. n.)

ZDZISŁAW BRONCEL

Hodowla kompleksu niższości

List z Gdańska

Gdańsk w październiku.

Gorączka Gdańska jest dziwną gorączką. Wybucha na komendę, na komendę rośnie, na komendę słabnie. Lato jest z reguły okresem spokoju. Jesień — z reguły okresem paroksyzmu. W sierpniu, a nawet jeszcze w początkach września Gdańsk był miastem cichego gotyku, pięknego renesansu i malowniczych uliczek z rzeźbionemi przedprożami, a z wyniosłej wieży kościoła Najświętszej Marji Panny wzrok turysty obejmował miasto, wyraźnie obrzeżone śladami dawnych wałów i murów obronnych, zdawałoby się — niczem nie zamącone w normalnym, równym torze życia bałtyckiego portu handlowego. Trudno było wówczas spotkać na ulicy członka hitlerowskich S. A. w brunatnej koszuli, a tembardziej czarno umundurowanych S. S.

Gdy skończył się sezon turystyczny, Gdańsk w ciągu jednego dnia zmienił barwę. Stał się bronzowy i czarny. Na ulicach zawisły wielkie plakaty i transparenty, znaczone swastyką na tle czerwonego sztandaru. Znikło bezpieczeństwo osobiste — policja nagle została dotknięta ślepotą i głuchotą. Obiecywano już sobie przedtem, jaka to będzie gdańska jesień w r. 1936, ale rzeczywistość przeszła oczekiwania. Rozpoczęły się aresztowania przywódców partyj opozycyjnych, przyczem z reguły role podzielono między policję, a bojówkę: policja aresztuje, bojówka, pod nieobecność aresztowanego, przychodzi demolować mieszkanie.

Wielu postarało się już w sierpniu wyjechać z Gdańska. Obok jednak prądu ucieczki zaznaczył się prąd nieustępliwego oporu. Opowiadają po cichu, że partja socjalistyczna ma 10.000 zorganizowanych oddziałów ochronnych, przyczem organizację żywcem skopjowała z hitlerowskich sztafet. Wśród walki z bezwzględnem zglajchszaltowaniem odżywa swoisty gdański patrjotyzm. Oczywiście ani niemiecko - narodowi, ani katolickie centrum nie będą głosić hasła powrotu do Polski. Przypominają jednak tradycje Gdańska, jako miasta naprawdę wolnego. Gdy spytałem się wręcz jednego z niemiecko - narodowych działaczy, jakby głosował w razie plebiscytu, odpowiedział, że złożyłby głos na rzecz zachowania status quo. Ten stosunek do plebiscytu byłby podyktowany względami taktycznymi i nie można ręczyć, czy za ludźmi zaangażowanymi czynnie w polityce poszliby niemiecko - narodowi wyborcy. Znacznie jednak szczersze są wyznania katolickiego centrum, w którem blisko połowa zwolenników składa się z polskich kaszubów, mieszkających po gdańskich wioskach, którzy radośnie przyjęliby utrwalenie i zacieśnienie związku z Polską.

Wszystko to jednak powstaje w granicach trybu warunkowego. W Gdańsku przyznają, że w wyborach przeprowadzonych pod ochroną polską, hitlerowcy otrzymaliby kompromitującą mniejszość. Cóż z tego, jeżeli równocześnie nikt w czyste wybory nie wierzy i jeżeli coraz bardziej rozprzestrzenia się nastrój trwogi i rezygnacji. Przed kilkunastu laty plotka gdańska straszyła koncentracją wojsk polskich na Pomorzu, bywali tacy, którzy „na własne oczy" widzieli szwoleżerów w granicznych wioskach — dziś plotka się zmieniła, dziś wyznacza się terminy przyłączenia Gdańska do Rzeszy. Jedni mówią, że nastąpi to lada dzień, optymiści odkładają rewolucję hitlerowską w Gdańsku jeszcze na pięć miesięcy. Dłuższego terminu nie słyszałem.. Nie bez znaczenia, nie bez głębszej wymowy jest owa ewolucja miejscowych pogłosek.

A Polska? Czyżby Polska nic tu nie miała do powiedzenia? Czy Polski nie liczy się w tych rachunkach?

Przy kawiarnianym stoliku rozmawiałem z sympatykiem ruchu narodowo - socjalistycznego, człowiekiem, przekonanym o nieuniknionem włączeniu Gdańska do obszaru Rzeszy niemieckiej. Argumentował on, powołując się na dwa czynniki — zdaniem jego — oczywiste: 1) dobre stosunki polsko - niemieckie oparte na rozumnej polityce, wolnej od przesądów traktatu wersalskiego, 2) Gdańsk jest miastem niemieckiem.

— Zaraz! — Przepraszam! — zawołałem — jak pan rozumie „przesądy traktatu"? Wszak np. traktat wersalski wyznaczył zachodnie granice Polski.

— Granica polsko - niemiecka — odpowiedział — jest nie dlatego, ażeby traktat wersalski posiadał dziś jakiekolwiek znaczenie, lecz dzięki temu, że uznała ją Rzesza w pakcie 10-letniej nieagresji.

— A po 10 latach?

— Nic bardziej nie różni się od statyki, jak polityka. Polityka jest żywym czynnikiem. Zresztą, w polityce prowadzonej rozumnie, nie widzę powodów do zerwania. Raczej do dalszego zbliżenia. Nasze drogi mają ten sam kierunek — na wschód. Sprawy sporne można zawsze uregulować drogą kompensacji.

— Czy Gdańsk miałby być pierwszym przykładem tej metody?

Gdańsk jest miastem czysto niemieckiem i „polski Gdańsk" jest tylko szkodliwą fikcją. Wolne Miasto jest zjawiskiem dziwacznem, rozwiązaniem prostem i naturalnem jest wcielenie Gdańska do Rzeszy. Polskę interesują jej prawa gospodarcze w Wisłoujściu. W Gdańsku niemieckim posiadałyby je bez udziału czynników trzecich, jak to ma miejsce obecnie w Radzie Portu.

— Zapomina pan, że Gdańsk w ciągu całych wieków naszej historji był związany z Polską. Świadczą o tem choćby pamiątki historyczne w samym Gdańsku.

— Świadczą, ale nie będą świadczyć, gdyż usuwamy je sy-

stematycznie, jako anachronizm. Gdy zaś mowa o historji, mam na to jedną odpowiedź: albo polityka szuka sukcesów, albo dobrych stopni, jak chłopak w szkole w opinji profesorów historji.

— Gdańsk żyje z Polski!

— I! Przepraszam — przed wojną światową nie było Polski, a Gdańsk istniał...

— W oparciu o Pomorze i Wielkopolskę, należącą do Prus. Dziś sytuacja się zmieniła.

— I może jeszcze raz się zmieni.

Uznałem za stosowne przerwać rozmowę.

— Niech mi pan daruje! — zażenował się mój rozmówca — nie miałem intencji obrażania pana, wysoko cenię patrjotyzm Polaków. Zechce mnie pan jednak zrozumieć: równie wysoko cenię patrjotyzm swego narodu plus zmotoryzowane korpusy wypadowe armji niemieckiej.

W tonie tej rozmowy odbija się również stosunek zhitleryzowanych władz gdańskich do Polaków. Polak — obywatel gdański prześladowany jest systematycznie i planowo, lecz nie przez bojówki. Wobec konieczności zachowania pozorów prawnych, Polaka usiłuje zniemczyć policja, sąd, władza administracyjna. Opornych pozbawia się zajęcia, prześladuje i szykanuje. Napływ żywiołu polskiego został uniemożliwiony. Od strony Niemiec — szeroko otwarte bramy, od strony Polski — zewsząd drut kolczasty. Obywatel polski, nie dostanie w Gdańsku pracy. Interwencja Komisarza Generalnego R. P. z konieczności musi ograniczać się do protestów i wysyłania not. Na notę i listy senat gdański odpowiada notami i listami. Jedynem następstwem każdego nadużycia gdańskiego jest zwiększenie zapotrzebowania na papier kancelaryjny w biurach komisarjatu.

Na pożegnanie Gdańska raz jeszcze wszedłem na wieżę kościoła marjackiego, ażeby spojrzeć na panoramę miasta chyba najmocniej w Polsce wywołującego wizję średniowiecza. Ogarnąłem spojrzeniem obszar Wolnego Miasta — poza jego granicami rozpościerały się, ustępując w szarość horyzontu ziemie Rzeczypospolitej. Bolesny był to kontrast.

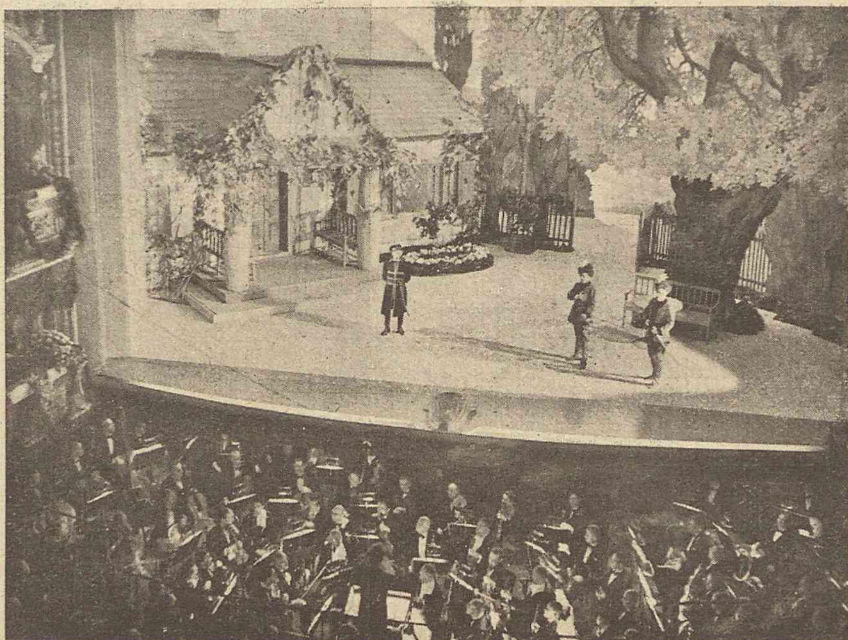
W Gdańsku Polacy, wobec zdarzeń dnia codziennego, zapominają o 33-milionowej, mocarstwowej Polsce. Pamiętają o żmudnej walce o drobne pozycje, martwią się drobnemi niepowodzeniami, radują takiemi sukcesami, jak wybudowanie, mimo bezczelnej szykany, jednej więcej szkoły polskiej. Ale dla Polaka z serca Polski, niebezpiecznie jest jeździć do Gdańska. Gdańsk może wykształcić kompleks niższości...

Czułem w sobie tę trującą zaródź, wracając do Warszawy. I zarazem czułem, że jedno jest tylko na to lekarstwo, że czemprędzej muszę zobaczyć oddział żołnierzy, spojrzeć w górę — ku eskadrze samolotów i przeczytać o nieustannym napływie składek na Fundusz Obrony Narodowej.



Kościół Marjacki w Gdańsku.

SEZON OPERY ROZPOCZĘTY



Akt. I odsłona druga z opery Straszny Dwór. Wykonawcy tercetu: Znicz, Bender i Breggy.

Opera warszawska rozpoczęła sezon wznowieniem „Strasznego Dworu". Odkładamy ogólne sprawozdanie z pierwszych premjer nowej dyrekcji, chcąc je potraktować jako całość. Dziś możemy tylko zaznaczyć, że uroczyste przedstawienie inauguracyjne cechowała wielka staranność. Duch kulturalnej pracy artystycznej, pomysłowość, dbałość o wysoki poziom uwidoczniły się od pierwszej chwili. Pozwala to nam wierzyć i mieć nadzieję, że opera warszawska w tym roku wzniesie się na wyższe szczeble kulturalne i że ruina, do której doszła (ruina oczywiście artystyczna), zwolna należeć będzie do coraz odleglejszej przeszłości. Przed dyrekcją obecną piętrzą się trudności. Zwyciężyć je może zapał, oddanie się pracy artystycznej bez zastrzeżeń, kompetencja i młodość. Pragnęlibyśmy aby wszystkie te walory zogniskowały się w nowej dyrekcji.

Przedstawienie „Strasznego Dworu" dodało nam otuchy. Widoczna staranność w opracowaniu, kulturalne i artystyczne zalety p. Mierzejewskiego, położenie nacisku na poprawność zespołu, jak i zapał solistów szybko znalazły oddźwięk na widowni.

Na widowni gdzie „stara", dawna Warszawa, jak i młoda, wzrastająca, „mocarstwowa" Warszawa przyszły na to piękne dzieło Stanisława Moniuszki.

Korpus dyplomatyczny niemal w komplecie. Fraki i smokingi na sali. Kwiaty i zieleń, zdobiące odnowione wnętrze opery. Dostojnicy państwowi i władze miejskie. Świat muzyki i literatury — oto zespół kulturalnej i artystycznej widowni, która oklaskiwała piękne dzieło Moniuszki, staranne jego przygotowanie i artystyczne wykonanie. Wśród solistów wymienić należy wszystkich: Mossakowski, Plattówna, Karwowska, Hupertowa, Breggy, Bender, Znicz, Michałowski trzymali prym. Ich piękne głosy, dobra gra i widoczna dbałość o danie pełni wysiłku artystycznego stworzyły przedstawienie, gorąco przyjmowane przez publiczność. Doskonała reżyserja zespołów, odbiegająca od operowych szablonów przyczyniła się również do dobrej całości. *X.*



Znicz i Michałowski wykonawcy ról Macieja i Skołuby.

PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

Sojusz francusko-sowiecki, a polityka zagraniczna Francji

Szereg pism paryskich atakuje rząd Bluma i sojusz francusko sowiecki, uważając, że nie przynosi on Francji żadnych realnych korzyści w polityce międzynarodowej, a przyczynia się w znacznej mierze do istnienia w łonie rządu Frontu Ludowego poważnych tarć, których wpływ na politykę wewnętrzną jest wyraźnie szkodliwy.

Przytaczamy poniżej szereg ciekawych wyjątków:

Lucien Romier, Le Figaro, jest zdania, że obecny głęboki rozdźwięk między komunistami a większością rządu Bluma, interesuje głównie politykę zagraniczną:

„Rząd zamknał swą politykę zagraniczną w formalne ramy systemu genewskiego i prowadzi ją pod znakiem stałej łączności z Anglją. Ta linja wytyczna nie jest całkowicie wystarczająca dla zainteresowań i zabiegów sowieckich. System genewski nie zapewnia bowiem skuteczności ani dość szybkiej, ani dość pewnej. Co do Anglji, jej stanowisko zawiera poważne zastrzeżenia przeciw komunizmowi i Rosji, a nadzieje polityki brytyjskiej nie wykluczają możliwości porozumienia francusko - niemieckiego. Anglja dba o odciążenie wschodu tem bardziej, że, nie mówiąc o Morzu Śródziemnem, porozumienie morskie na Pacyfiku jest kwestją najbliższych tygodni.

Jeżeli chcemy zrozumieć obecną taktykę Sowietów z Moskwy i ich filji paryskiej, należy się strzec, aby nie sądzić faktów jedynie na podstawie poczynań polityki wewnętrznej. Trzeba postawić się na płaszczyźnie międzynarodowej i wtedy sprawy te nabierają żywego światła, jak to słusznie podkreśla **M. de Marsilly, w Petit Bleu:**

„Każde porozumienie francusko - niemieckie, każdy solidny, lub wyglądający solidnie, statut reński redukuje prawie do minimum rolę Z. S. S. R. na Wschodzie. Z tej przyczyny przekreśla i czyni nieużytecznem porozumienie francusko - sowieckie i pozostawia Rosję straszliwie izolowaną w stosunku do Rzeszy. Stąd też pochodzi życiowe przykazanie Sowietów: nowe Locarno nie może dojść do skutku".

Demonstracje w Alzacji

Zamieszki w Alzacji — radość w Berlinie. Kanclerz Hitler jest wyraźnie zainteresowany w tem, aby nieład zwiększał się we Francji:

„Wszyscy Francuzi, oświadcza **L'Ami du Peuple,** powinni zdwoić swój patrjotyzm, aby nie dostarczyć żadnego pozoru, żadnej pokusy dla działań agentów zagranicznych, pragnących łowić ryby w mętnej wodzie.

Niech nam więc będzie wolno wyrazić żal, że przedstawiciele stronnictwa, które obiecywało, że uczyni Francję wielką i silną, dostarczają właśnie tych złych pretekstów zagranicy.

Ubolewamy zwłaszcza nad tem, że Rząd Frontu Ludowego popiera w Alzacji tak niebezpieczne poczynania."

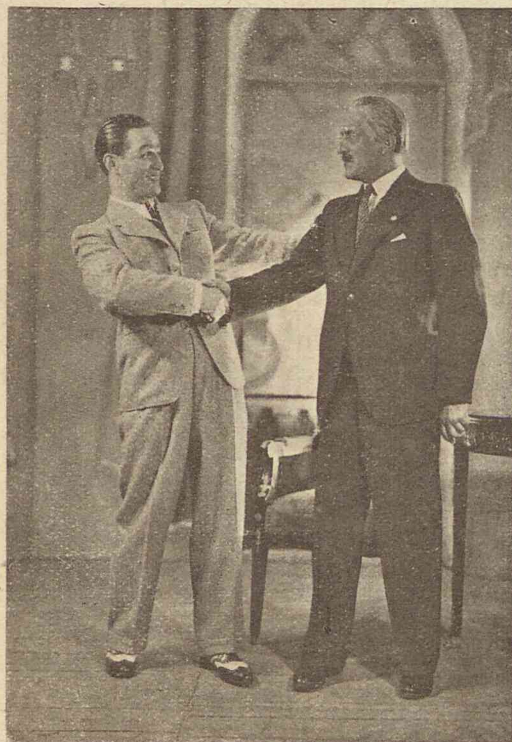
Gospodarka Brytyjska

Ekonomiści, bankierzy i przemysłowcy są w zgodzie, że pomyślność gospodarki brytyjskiej pozostaje w ścisłym związku z wznowieniem wymian międzynarodowych.

„Wychylenia wypłat narodowych, jak zauważa **Jacque Bardoux w Le Capital,** dążą do pewnego ustalenia się. Rzeczywiście w roku 1935 nadwyżka widzialnych zakupów nad widzialnemi sprzedażami, importu nad eksportem, wyniosła 294 miljony funtów (1934 — 261), i jest już bardzo różna od miażdżących deficytów w 1931, 32 (408 miljonów). Mimo tej poważnej redukcji, mimo, że dochody z przewozów morskich w ciągu ostatnich trzech lat poważnie wzrosły, z 65 do 70, a nawet 75 miljonów, mimo, że wpływy od kapitału inwestowanego zagranicą weszły na rosnącą krzywą pozycjami 160, 175, 185 miljonów funtów, równowaga nie jest jeszcze zadawalająca. Nie wyraża się ona, coprawda, tak zatrważającą stroną bierną jak w 1931 i 1932 r. — 104 i 51 miljonów — ani jak w 1933 r. przez zero, ani jak w 1934 r przez przewagę iluzoryczną aktywów nad pasywami o 2 milj. funtów, mimo zawieszenia wypłat Stanom Zjednoczonym. Aktywne saldo roku 1935 jest nieco lepsze: 37 miljonów funtów. Jest ono jednak bardzo niskie, w porównaniu do dawniejszych bilansów i do bilansów Stanów Zjednoczonych. Anglja nie bogaci się już, albo bogaci się w znikomym stopniu. Nie może się ona stać na nowo tem, czem była i tworzyć z łatwością kapitałów, chyba, że poważna zwyżka wywozu jej przetworów poprawi jej bilans płatniczy.



Do niedawna znaliśmy Hiszpanję raczej ze strony piękna i temperamentowej zabawy. Tańce hiszpańskie były jednym z ulubionych numerów teatrzyków całego świata. Dziś świat przejmuje groza bratobójczych walk w Hiszpanji. Poniżej: Cyrulik Warszawski w swym ostatnim programie: „Karjera Alfa Omegi" bawi nas świetną satyrą polityczną, skrzącą się od aktualnych dowcipów. (Na zdjęciu Dymsza i Olsza.)



PRZED KOŁEM SZCZĘŚCIA

O zdobyciu pieniędzy marzą wszyscy, najgoręcej ci, którym życie skąpi swych uśmiechów i radości. Zdobywać pieniądze nie jest jednak rzeczą łatwą w dzisiejszych czasach. Więc ten i ów próbuje szczęścia na drodze hazardu.

Gry hazardowe kończą się prawie zawsze jednakowo: przegraną. I to nie taką przegraną, na jaką ostatecznie gracz mógłby sobie pozwolić, ale z reguły przegraną, przewyższającą możliwości płatnicze ryzykanta. Skutki takich przegranych są po największej części tragiczne i czytamy o nich — niestety — dość często w kronice nieszczęśliwych wypadków: „pan X odebrał sobie życie, powodem zamachu samobójczego była większa przegrana".

W grach hazardowych niewiadomo, ile można wygrać i — co ważniejsze — niewiadomo, ile można przegrać. Wygrywa jeden, przegrywa z kretesem stu. To jest reguła.

Na tej drodze do pieniędzy się nie dojdzie.

Ludzie, którzy lgną mimo to do hazardu, gdy się ich przekonywa, że są inne pewniejsze i bezpieczniejsze sposoby dojścia do majątku, że istnieją inne rodzaje gry, pozbawione hazardu i nie narażające na utratę czci, honoru i życia, odpowiadają: „Ba, ale nie mam cierpliwości, nie mogę czekać, a tu może w jednej chwili zbogacę się".

Oczywiście, desperatom, którzy chcą skręcić kark, trudno wyperswadować, że schody istnieją po to, aby zejść po nich bezpiecznie z czwartego piętra, zamiast skakać z okna na ulicę.

Każdy jednak rozsądny człowiek rozumie, że cierpliwość i wytrwałość jest w życiu konieczna. Dla każdego jest jasne, że tylko spokojna, celowa, nie narażająca na uszczerbek materialny gra na Loterii Państwowej może prowadzić do pożądanego celu — do wygranej.

Na tysiące liczy się już dzisiaj ludzi, którzy zapewnili sobie Jutro i patrzą pogodnie w przyszłość, dzięki Loterii Państwowej.

Nie jest więc wcale paradoksem powiedzonko jednego ze szczęśliwych graczy, znanego szerszym warstwom publiczności w stolicy:

„Gdyby Loterii nie było, należałoby ją wymyśleć".

UPRZEJMOŚĆ

Pewien pan siedzi u znajomych. Siedzi, siedzi i wcale nie myśli iść. Nadomiar złego zaczyna jeszcze głośno gwizdać.

Gospodarzowi robi się przykro.

— Proszę, niech pan przestanie gwizdać! Nie znoszę tego!

— Jakto? Pan nie znosi gwizdania? Przecież pan mieszka przy kolei, a pociągi stale gwiżdżą?...

— No tak, ale jak pociąg gwiżdże, to wiem, że odchodzi.

NASZE DZIECI

Rysio widział szkielet ludzki:

— Co to jest? — pyta.

— To są kości człowieka.

— A więc tylko mięso idzie do nieba?

•

Matka prosi 9-cioletnią pociechę o przypilnowanie gotującego się mleka. W pewnym momencie, pociecha, chcąc zakomunikować, że mleko kipi, krzyczy:

— Mamusiu!... Prędzej! Prędzej! Mleka jest więcej niż rondla!...

CZY PANI WIE, ŻE...

...właściwie jesteśmy strasznie konserwatywni w sprawach kulinarnych. Jeżeli polędwica — to z buraczkami. Jeżeli kotlety cielęce — to napewno z marchewką, jeżeli schab to nieodzownie z kapustą. Dlaczego? Czy nie możnaby znaleźć nowych interesujących kombinacji, któreby pomyślnie urozmaiciły tę monotonję?

Był we Francji taki „twórca smakowy", kucharz Jules Maincave, którego sława zabłysła w Paryżu w roku 1913 — i który zginął w rok potem podczas wielkiej wojny. Ten rewolucjonista nie uznawał tradycyjnych połączeń i usankcjonowanych raz na zawsze harmonji. Mówił on: „Dlaczego połączenie octu z oliwą jest uznane i stanowi klasyczny na całym świecie sos — a połączenie np. rumu z sokiem mięsa wieprzowego uważane jest za ekstrawagancję? Dlaczego te same przyprawy aromatyczne powtarzają się aż do znudzenia: pietruszka, liść bobkowy, cebula, majeranek? Czemu nie wprowadzamy do potraw zapachów nowych, np. zapachów kwiatów?"

I proponował zdumionym gościom dania np. takie:

Pieczeń wołowa z kümmelem, przybrana bananami, nadziewanemi szwajcarskim serem. Purée ze śledzi z galaretką malinową. Purée z sardynek z serem camembert. Krem śmietankowy z sokiem pomidorowym, aromatyzowany rumem. Kotlety baranie z miętą. Kurczę z konwalją. Pieczeń cielęca z absyntem.

Możeby ten poeta smaku wprowadził na stałe do sztuki kulinarnej swoje pomysły — ale śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu na spopularyzowanie tych potraw, które znane były — i „smakowane" — tylko w gronie rzeczywistych paryskich smakoszy. Podamy tu jeden oryginalny przepis tego dziwnego kucharza.

■

...filety z flondry z kremem. Oddzielić zręcznie filety dużej ładnej flondry. Zachować głowę i ości, bo będą potrzebne. Zanurzyć filety na godzinę w rumie, potem je podpalić (tak jak się podpala klasycznych omlet z rumem). Opalone filety posypać proszkiem ze zmielonych najcieniej ości i głowy flondry. Ułożyć filety na półmisku w wieńcu z kremu, ubitego z kremowej śmietanki, do której dodać ekstraktu pomidorowego. Filety powinny być bardzo gorące — a krem lodowato zimny. Podając na stół — nalać na filety kroplomierzem parę kropel ulubionych perfum.

O tem daniu nikt w Warszawie nie słyszał. Kto pierwszy spróbuje?

■

...można poznać gatunek masła przez topienie. Łyżeczkę masła włożyć do szklanki, wstawić szklankę do gorącej wody, masło stopnieje. Jeżeli masło jest niezafałszowane — to płyn będzie klarowny, a na dnie zobaczymy tylko odrobinę wody i sernika. Jeżeli masło jest zafałszowane — wody i sernika będzie dużo.

■

...nawet najlepsza kucharka zwykle nie umie ugotować dobrej sztuki mięsa. Sekret polega na tem, że nie wolno kłaść mięsa do wody zimnej, która z niego cały smak wypłucze, lecz do wody wrzącej, która ścinając białko, cały smak mięsa w niem zatrzymuje. Homeryckie boje staczam z każdą pokolei służącą, ucząc ją tego prostego sposobu. Każda uważa to z mojej strony za dziwaczne komplikowanie prostej rzeczy. Dopiero po kilku próbach każda przekonywa się, że sposób jest niezawodny. Tego samego sposobu naturalnie używać należy i przy sporządzaniu potrawki z cielęciny. Oczywiście przy takiem gotowaniu mięsa rosół z niego będzie znacznie mniej esencjonalny, ale też chodzi nam o dobre mięso, nie o dobry rosół.

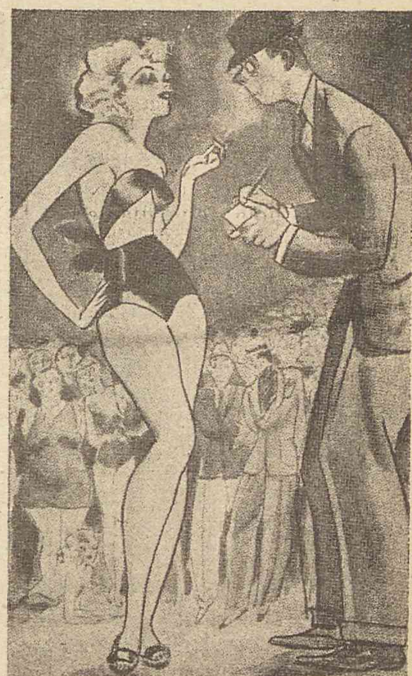
Drugi sekret polega na tem, że zagotowana w mocno wrzącej wodzie sztuka mięsa powinna być trzymana krótko na mocnym ogniu, a potem długo na ogniu bardzo słabym. Gdy patrzę na silnie kipiący garnek, z którego dochodzą zapachy włoszczyzny i wołowiny — wiem zgóry, że sztuka mięsa będzie podła. Mięso powinno po pierwszem zawrzeniu gotować się dalej bardzo łagodnie, bez wrzenia.

Dama Pikowa.

Od Redakcji

Do ubiegłego numeru dołączyliśmy I tom powieści Sommerset-Maugham p. t. „Malowana Zasłona". Przy numerze bieżącym wysyłamy naszym prenumeratorom tom II.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



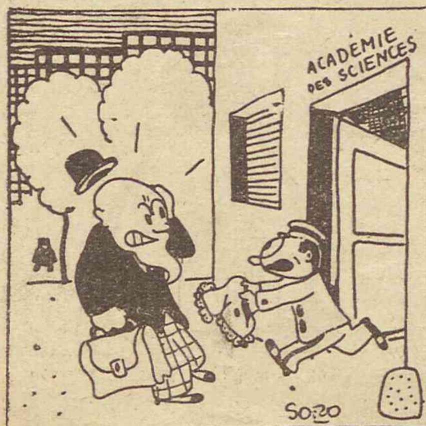
A przedewszystkim niech pan zaznaczy, że jestem tu incognito.

NASI MILUSIŃSCY



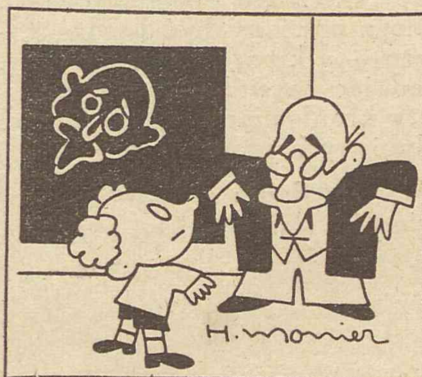
— Czy nie ma Pan wypadkiem jakiego sposobu na porastanie drapiącej brody? Mam ciotkę, która mnie zamęcza pocałunkami.

ROZTARGNIENIE



— Panie profesorze, pan czegoś zapomniał... (Marianne).

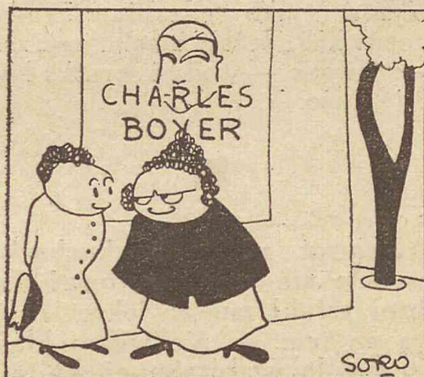
DOBRE SERCE



— Co zrobiłeś z zadaniem wakacyjnem?

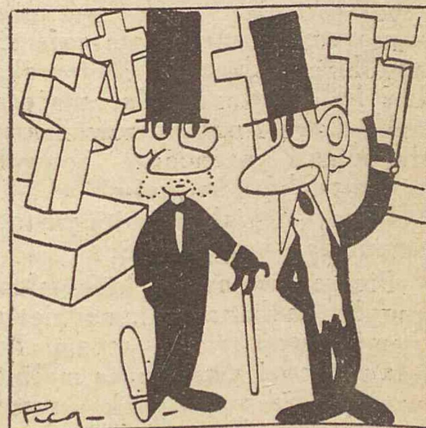
— Powierzyłem je nieszczęśliwemu bezrobotnemu. (Marianne).

URAŻONA KINOMANKA



Ja mam iść na film z Charles Boyer?

Ani myślę. Nie odpowiedział na tyle moich listów...



Kiedy umrzesz, to tak jakbyś był rogaczem:

Całe otoczenie, wszyscy o tem wiedzą, a ty tego się nie domyślasz... (Marianne).

75-LECIE ANGIELSKIEJ P.K.O.

Ł. 6_0.000.000 WKŁADÓW

Przed kilku dniami najstarsza na świecie P. K. O. mianowicie angielska, obchodziła 75-lecie swej działalności. W związku z tym Dyrektor tej kasy Major G. C. Tryton w radiowym przemówieniu zobrazował jej działalność i rozwój na przestrzeni tego okresu.

Stwierdził on, iż w roku założenia kasa liczyła około 300 zbiornic (urzędów pocztowych), a dzisiaj posiada ich około 16.500. Liczba kont oszczędnościowych wynosiła w 1862 r. 176.000 z 2 milj. Ł. wkładów. Obecnie liczba kont wynosi 10 milj., a suma wkładów — 600 milj. Ł. (ponad 15.600 milj. złotych). Prawie każda rodzina angielska posiada książeczkę P. K. O., a na niej przeciętnie 45 Ł. W r. 1861 angielska P. K. O. liczyła zaledwie pięciu urzędników — dziś liczy przeszło 3.500 osób. Około 5.000 kont otwiera się miesięcznie dla dzieci poniżej 7 lat. Instytucja ta posiada obecnie prawie 50% ogólnej sumy wkładów i uważaną jest powszechnie za narodową instytucję Anglii w zakresie gromadzenia kapitałów.

Podobnie szybki rozwój wykazują Pocztowe Kasy Oszczędności i w innych krajach. Szerokie rozpowszechnienie Pocztowych Kas Oszczędności tłumaczy się właściwymi tym kasom zaletami. Pocztowe Kasy docierają swymi wpływami do najdalszych zakątków kraju, wypełniając tym samym luki w organizacji kredytowej. Poza tym prosta organizacja, łatwość i taniość usług, oszczędność czasu. dzięki najbardziej nowoczesnym urządzeniom umożliwiają korzystanie z usług tego rodzaju instytucyj najszerszym warstwom społeczeństwa.

Analogicznie i P. K. O. w Polsce w krótkim stosunkowo czasie zdołała osiągnąć poziom nie tylko dorównujący najlepiej zorganizowanym instytucjom pokrewnym zagranicą, lecz w wielu wypadkach świeci przykładem zagranicy. 2.200.000 książeczek oszczędnościowych z przeciętnym wkładem zł. 300 na książeczce, 76.000 kont czekowych, 850 miljn. zł. wkładów, 27 i pół miljarda obrotów czekowych, w tym 21 miljrd. obrotów bezgotówkowych. 122.000 polis ubezpieczeniowych na ogólną sumę 182 milj. zł. 190.000 wpłat i wypłat dziennie — oto najlepszy obraz wyników osiągniętych przez naszą P. K. O. Wkłady P. K. O. stanowią obecnie prawie 1/3 ogólnej sumy wkładów w Polsce.

W ciągu zatem kilkunastu zaledwie lat nasza P. K. O. — podobnie jak i angielska — przeobraziła się w prawdziwą Skarbnicę Narodową kapitałów. Jest ona dziś najpotężniejszym zbiornikiem, do którego spływają oszczędności tysiącem kanałów z najdalszych zakątków kraju i rezerwoarem kapitałów, z którego korzystają wszystkie dziedziny życia gospodarczego.

W. KATAJEW

POTĘGA PRASY

(HUMORESKA)

Wołodja odgarnął szykownie włosy z czoła i rzekł głosem pełnym oburzenia obywatelskiego:

— Towarzyszu redaktorze! Skandaliczny fakt. Nie będąc komunistą, ale w ogólności i w szczególności stojąc na platformie, uważam za swój obowiązek moralny... więcej nawet, za swój obowiązek ogólnoludzki... wykazać, tembardziej, że mogą to potwierdzić lokatorzy... a nawet widział to jeden znajomy architekt...

— Proszę przytoczyć fakty.

— W tej chwili. W epoce, kiedy władza sowiecka wstępuje na drogę handlowo - przemysłową... to jest na drogę ekonomiczną... to znaczy rolniczą... słowem... i lokatorzy z numeru piętnastego mogą to potwierdzić...

— W takim razie towarzyszu sformułujcie to wszystko na piśmie.

— Proszę. Już napisałem.

Redaktor przekreślił fachowo czerwonym ołówkiem jedenaście sporych stron napuszonego wstępu o gospodarczem odrodzeniu kraju i zostawił zaledwie kilka wierszy:

„Groźba katastrofy"

„Dom oznaczony liczbą 7 przy ulicy Zuzina jest do tego stopnia zrujnowany, że grozi w każdej chwili zupełnem zawaleniem się. Konieczne jest przeprowadzenie kapitalnego remontu. Dach tu i ówdzie przecieka. Zwlekanie równałoby się śmierci. Stu pięćdziesięciu istotom ludzkim grozi zagłada. Najwidoczniej komunizm śpi".

Nazajutrz z rana Wołodja podniecony mówił do redaktora:

— Prasa to potęga! Prasa to szóste mocarstwo, towarzyszu redaktorze! Nie będąc komunistą, ale w ogólności i w szczególności stojąc na platformie, a również ucząc się na robfaku (fakultet robotniczy)... i lokatorzy mogą to potwierdzić... jak to właśnie trafnie określiliście... najwidoczniej komunizm nie spał...

Na ulicy rozległ się głuchy gwar, skrzypienie kół, płacz dzieci i groźne okrzyki tłumu. Sekretarz wzburzony wpadł do gabinetu redaktora.

— Towarzyszu redaktorze! Nieszczęście. Tam na dole...

— Kto?

— B. . .b. . .bezdomni, których dziś rano wyeksmitowano na skutek naszej notatki. Domagają się pomieszczenia... Domaga...

Redaktor podszedł do okna i aż się zatoczył.

Na dole, na placu falował malowniczy tłum lokatorów wyeksmitowanych z domu numer siedem przy ulicy Zuzina. Kwili-

ły niemowlęta. Kucharki trzymały w rękach prymusy. Staruszkowie i staruszki siedzieli na biurkach. Mężczyźni zbrojni w wieszaki groźnie nacierali na lokal redakcyjny.

— Dajcie nam mieszkanie.

— Dajcie nam autora notatki.

Redaktor schwycił się za głowę.

Wołodja zamrugał nerwowo oczyma i korzystając z ogólnego zamieszania drapnął na strych.

Tłum demolował redakcję.

Przełożył mgl.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Janusz Stęporoski: „Na morskich szańcach Rzplitej" — kronika historyczna z 1635 r. w 6 odsłonach. Nakładem Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Cena zł. 3.50.

Albin Dziekoński: „Rzeczy podejrzane". Zbiór poezji. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Jerzy Giżycki: „Między morzem a pustynią". Wydawca: Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska". Skład: Główna Księgarnia Wojskowa. Cena zł. 6.50.

Witold Hulewicz: „Gniazdo żelaznego wilka". (Bibljoteka Dookoła Polski tom 2). Nakładem Książnicy Atlas. Cena złotych 1.50.

Leopold Brodziński: „Faun z Hollywood". Powieść. Skład Główny: Gebethner i Wolff. 2-gi nakład.

Helena Maty: „Życie jakich wiele". Powieść. Skład główny: Gebethner i Wolff. Cena zł. 9.—

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani I. L-ska. „Ze wspomnień spadochronistki". — Nie zamieścimy.

Pani M. Rub. „Emocje zakopiańskie". — Mało interesujące, nie zamieścimy.

Pan M. Pt. „Co czytać?" — Nie skorzystamy. W sprawie art. „Made in U. S. A." — prosimy zwrócić się do Redakcji.

Pan J. Krz. „Anegdoty autentyczne" — Już drukowaliśmy. Jedna do zwrotu.

Pani J. Rap. „Lato na Majorce". — Częściowo zamieścimy. Prosimy zwrócić się do Redakcji celem omówienia warunków.

Pan S. Kow. „Przylądek ostatniego lata" i „Gobi". — Nie skorzystamy.

Pani Z. R-ska. „Na wywczasach". — Nie zamieścimy.

Pani H. Per. „Szczawnica" i „Lord paradox". — Nie zamieścimy.

Wyżej wymienione rękopisy są do odebrania w Redakcji w ciągu 2-ch tygodni. Po upływie tego czasu zastaną zniszczone.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. Eugenjusz Jastrzębiec-Drągowski

Ś. p. Eugenjusz Jastrzębiec - Drągowski urodził się w Kaliszu 28 grudnia 1865 r. Po ukończeniu gimnazjum w mieście rodzinnem przeniósł się na stały pobyt do Warszawy. Tu rozpoczął pracę od objęcia posady vice-dyrektora powstałego wówczas hotelu „Bristol". W 1915 r. został powołany na stanowisko Intendenta Tow. Resursa Kupiecka w Warszawie, na którem to stanowisku trwał do chwili zgonu.

Ś. p. Eugenjusz Drągowski herbu Jastrzębiec pochodził ze starej rodziny ziemiańskiej. Za wysoce szlachetne patrjotyczne czyny, wyrażające się w nieprzejednanej walce o wolność Ojczyzny i wyrwanie Jej ze szponów zaborców moskiewskich rodzice Jego zostali doprowadzeni do zupełnej ruiny przez najeźdźców, którzy zagrabili im Dominjum i majątek rodowy Drągi Puławskie, położone w powiatach Bielskim i Puławskim.

Od pierwszej chwili założenia Towarzystwa Zawodowych Pracowników Handlowych w Warszawie ś.p. Eugenjusz Drągowski był wybitnie czynnym członkiem, kładąc na polu tej pracy poważne zasługi, w wyniku czego został w 1935 r. uczczony uroczystym jubileuszem przez tę czysto polską i tak pożyteczną Instytucję.

Zmarły, będąc gorącym patrjotą, odznaczał się prawością charakteru, nieskazitelnością duszy i czułością serca na cierpienia ludzkie, ocierał niejedną łzę niedoli.

Powiększył szeregi godnych Synów Ojczyzny, którzy porzucili żywot ziemski, przenosząc się w zaświaty dn. 10 października r. b. okrywając ciężką żałobą serca osieroconych: żony Jadwigi z Rozmysłowiczów i syna Tadeusza, oraz pogrążając w szczerym smutku szerokie koła przyjaciół.

Cześć Jego świetlanej pamięci.



Ś. p. Wł. Gomanowicz

Ś. p. Władysław Gomanowicz współwłaściciel Fotochemigrafji „Nowoczesnej" zmarł nieoczekiwanie w pełni sił wieku męskiego. Zmarły współpracował przez szereg lat z wydawnictwem tyg. „Świat", zasilając go materiałami, wykonanemi przez swój zakład. Zgon ś. p Gomanowicza pogrążył w żalu otaczających go, wśród których umiał pozyskać dla siebie sympatje.

SŁUCHAMY PŁYT

Dzisiejsza recenzja będzie bardzo międzynarodowa — mam przed sobą cały szereg doskonałych płyt — niestety żadnej polskiej. Przeważnie są to nagrania orkiestr angielskich.

Na pierwsze miejsce wybija się słynny zespół Jacka Payne'a. „Dymek z papierosa" slow-fox z filmu „Roberta" jest potężnym utworem, przypominającym „Night and day". Oznacza się piękną linją melodyjną, bogactwem barw i urozmaiconą harmonizacją. Utwór, którego można słuchać bez końca i im dłużej go gramy, tem bardziej się podoba. Kompozycja jest tak w stylu Irwinga Berlina, że zdziwiona byłam odczytawszy na etykietce nazwisko Kerna. Po drugiej stronie wesoły fox, właściwie rumba z dowcipnym refrenem angielskim. Dzięki komicznym efektom głosowym płyta ta może zabawić nawet tych, którzy, słuchając angielskiego języka, czują się jak na niemieckiem kazaniu.

Śliczną melodją oznacza się slow-fox Browna „Alone" z filmu „Noc w Operze". Śpiewa doskonały duet, którego nazwiska nie są, niestety, wymienione. Szczególnie bas ma wyjątkowo piękny, głęboki głos o metalicznej barwie. Poza refrenem śpiewanym cały utwór jest również utrzymany w formie djalogu poszczególnych instrumentów. Treść jest miłą, sentymentalną historyjką, skargą na samotność — podaną w bardzo kulturalnej formie. Druga strona — mało ciekawy, ale dość dobry rytmicznie fox „Where there's you, there'me".

Fox „Promień słońca" z filmu o tej samej nazwie to typowy, niesłychanie rytmiczny utwór do tańca z przewagą perkusji, z doskonałą częścią wykonaną na 2 fortepianach. Słuchając go mimowoli nasuwa się refleksja — dlaczego tak mało jest tego rodzaju utworów, kiedy praktyka pokazuje, że umiejętne nagrany fortepian jest bardzo fonogeniczny. Z tego samego filmu drugi foxtrot „Wesoły Pirat" ma zacięcie operowe: najpierw wstęp, potem djalogi, chór — wyraźna muzyka programowa. Byłaby naprzykład doskonałą ilustracją do filmów Disney'owskich, w których zawsze niesłychanie dużo się dzieje.

A teraz cała serja utworów Irwinga Berlina. Według mnie jest to jeden z najlepszych współczesnych kompozytorów muzyki jazowej, czego wystarczającym chyba dowodem jest „Wesoła Rozwódka", czy „Panowie w cylindrach". Prześliczną melodję ma slowfox „Zatańcz jeszcze raz", o charakterystycznej u Berlina pięknej harmonizacji i pełności tonu, melodji może trochę monotonnej, ale dziwnie pociągającej. Lepszy może do tańca, ale mniej ciekawy muzycznie jest foxtrott na odwrocie: „Stawiam wszystko na jedną kartę" (po angielsku „Rzucam wszystkie jajka do jednego koszyka") w wykonaniu Casani Club Orchester.

„Tańcz mój złoty" jest dość irytującym utworem — ciągle, rwane motywy i bez końca synkopy, kłócące się nawzajem. Pod względem kompozycji mistrzowski, pod względem melodji jednak znacznie uboższy od poprzednich. Do tańca zato pierwszorzędny, doskonale rytmicznie nagrany przez orkiestrę Jonny Johnsona. Śliczny, typowo „Berlinowski" jest slow-fox „Gdzie jesteś", troszkę sentymentalny, doskonale melodją związany ze słowami. Wykonanie orkiestry Jay Wilbura. Ostatni fox „My marynarze" jest bardzo ciekawy przez kontrast pełnego, dźwięcznego chóru marynarzy i solisty-barytona śpiewającego na jednym tonie, monotonnym, nosowym głosem opowieść o życiu marynarzy. Jest to właściwie marsz, przypominający może „Marsz Grenadjerów" z „Parady Miłości", o mniejszej jednak dynamice wojennej, a większej monotonji szumiącego morza.

Z pośród 3 płyt niemieckich w wykonaniu orkiestry Fritza Domina, na pierwszy ogień biorę znaną mi dawniej „Smutną niedzielę". Uważam, że polskie wykonanie Fogga, stoi na bezwzględnie wyższym poziomie. Poco więc sprowadzać słabe, zagraniczne nagranie? Rudolf Elirhardt śpiewa nieprzyjemnym, nosowym głosem, bez żadnego wyrazu. Tango „Lieder die uns der Zigeuner spielt" nie przekracza ram poprawnej banalności tak pod względem wykonania jak i kompozycji. Może najlepsze jest „Bei roten Wein", melodyjne i dobre w rytmie tango z urywanemi frazami, charakterystycznemi dla muzyki andaluzyjskiej.

Jeżeli kiedy otworzymy głośnik radjowy, na którąś ze stacji niemieckich, możemy być pewni, że usłyszymy kilka marszów w wykonaniu dzielnego chóru ludowego i dętej orkiestry, oraz ludowe piosenki w rytmie beindlera czy sztajerka. Takie właśnie dwa typowe utwory to „Die schöne Nachbarin" oraz „Du bist verkehrt verheirat".

H.





Hollywood i moda

Gdy przez ekran przesuwa się wytworna gwiazda w pięknej toalecie ze srebrnej lamy i we wspaniałym płaszczu gronostajowym, nad ciemną salą unosi się niejedno westchnienie: „Ach, jakbym chciała mieć taką suknię!" I w odpowiedzi rozlega się rozdrażnione mruknięcie sąsiada: „Naiwna jesteś. Film to jeden wielki „szwindel". Ta lama — to bawełna, a gronostaje — to jakiś pies lub królik".

Nie drogi panie. Myli się pan. Suknie artystek filmowych są zazwyczaj wytworami pierwszorzędnych magazynów i są zrobione z najlepszych, najbardziej wyszukanych tkanin; a wspaniałe futra są nieraz własnością studio filmowego i są przechowywane w specjalnych safe'ach, po to, by na krótkie chwile ozdobić piękną gwiazdę.

Większość sukien artystek filmowych — rzecz jasna, tylko wielkich gwiazd, gdyż statystki i mniej znane aktorki muszą same dostarczać garderobę — pochodzą z takich magazynów mody, jak Patou, Chanel, Worth, Rochart, i są oryginalnymi modelami, które w ten sposób po raz pierwszy zostały zaprezentowane światu.

Obecnie największe wytwórnie filmowe wprowadziły nową metodę, a mianowicie zakupują one całkowicie magazyn mody, który odtąd musi pracować wyłącznie dla danej wytwórni.

Metoda ta bardzo odpowiada sprytnym Amerykankom, które doszły do wniosku, że modele prezentowane na ekranie nie są już własnością magazynu mody i można je bezkarnie kopiować. Naśladownictwo to nieraz przyjmuje formy całkiem groteskowe. W mieście Desmoines, w stanie Omaha, na pewnym dobroczynnym balu, urządzonym krótko po wyświetlaniu filmu słynnej śpiewaczki Lily Pons (p. t. „Kobieta zawsze ma rację"), w którym artystka ta nosi wyjątkowo eleganckie toalety, jakiś dowcipny dziennikarz naliczył aż 72 suknie à la Lily Pons. Cóż za przykrość dla elegantek miasta Desmoines!

Nadchodzący sezon zimowy zapowiada się pod znakiem mody à la Maria Stuart. Katarzyna Hepburn zwróciła się do swego reżysera — Johna Forda, z prośbą, aby pozwolił jej zatrzymać jedną z sukien, w której występuje ona w roli Marii Stuart, gdyż — jak wiadomo — wszelkie kostiumy historyczne stanowią własność wytwórni. Jest to czarna welurowa suknia, z długim, na ramieniu lekko bufiastym rękawem, i typowym „stuartowskim" kołnierzem. Katarzyna Hepburn zamierza suknię tę nosić bez najmniejszych zmian, na małych przyjęciach w Hollywoodzie, i niewątpliwie zapoczątkuje modę na suknie stylowe. Przypuszczalnie przez salony Nowego Yorku przewinie się tej zimy niejedna „Katarzyna Hepburn".

Jest to tym bardziej prawdopodobne, że lansowania mody à la Maria Stuart podjął się słynny Plunkette, który jest dla Ameryki tym, czym Poiret dla Europy. Nie było to zresztą zbyt trudne, gdyż cała obecna moda rozwijała się właśnie w tym kierunku.

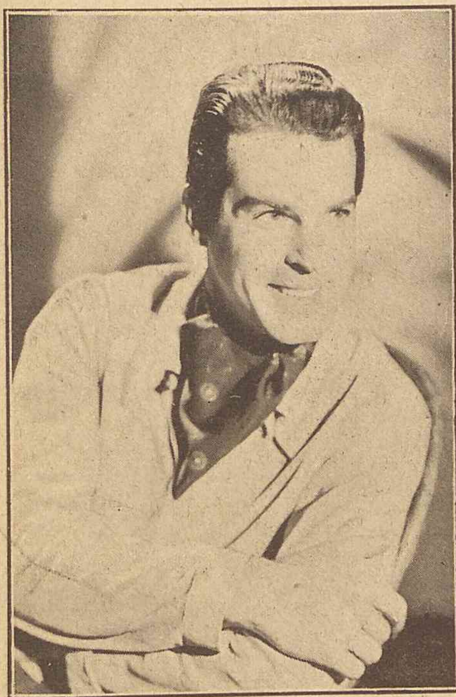
Kto jest moim ulubionym aktorem?

Jak wiadomo, Ameryka jest rozmiłowana we wszelkich statystykach, ankietach, klasyfikacjach. Nic więc dziwnego, że doroczna ankieta „Hollywood Reporter" największego dziennika stolicy filmu — „Kto jest moim ulubionym aktorem?" wzbudza wielkie zainteresowanie nie tylko śród stałych czytelników tego pisma, ale śród szerokich mas miłośników filmu. A kto w Ameryce nie interesuje się filmem?

Tegoroczny wynik ankiety odbiegał od szablonu: na pierwszym miejscu figurowały równolegle dwa nazwiska: — Fred Astaire i Ginger Rogers.

Srebrny medal został przyznany Shirley Temple. Na trzecim miejscu figuruje Clark Gable.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzednim telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.



Fred Mac Murray, bohater wielu filmów, ukaże się wkrótce obok Claudette Colbert w filmie „Maud of Salem". Fot. Paramount.

RECENZJE FILMOWE

„Toni z Wiednia"

Roma

Miły bezpretensjonalny film wiedeński, wesoła a jednocześnie owiana lekkim sentymentem opowieść o biednym chłopcu i ulicznym grajku. Bez hałasu, bez krzykliwej reklamy obraz kulturalnie podany przez Maxa Neufelda, realizatora „Csibi", sprawia wrażenie miłe, porywa bezpośredniością ujęcia, rozbraja naiwnością akcji, wypełnia pogodą i przejmuje prostotą i szlachetnością.

Biedny opuszczony chłopiec, sierota bez dachu nad głową i niemniej biedny grajek uliczny wiodą cygańskie życie z humorem, śpiewem i pogodą.

Muzykalny chłopiec umieszczony zostaje dzięki szczęśliwemu zrządzeniu okoliczności w słynnej szkole chórów chłopięcych w Wiedniu i odtąd dzieli swój los z wesołą gromadą miłych urwisów. Beztroska czereda ma swoje radości i smutki. Reaguje na nie z dziecięcą wrażliwością i bezpośredniością i oddalona od codziennej szarzyzny życia „z pieśnią idzie w świat".

Pieśń, a właściwie lekka wiedeńska piosenka, oddana czysto przez dziecięcy chór, brzmi w całym filmie, przeplata akcję, wiąże ją i z beztroską melodyjnością wprowadza widzów w urocze góry, między niebosiężne szczyty.

Prosta, codzienna poezja życia pogodnie podpatrzona, starannie opracowana i bezpretensjonalnie podana powinna znaleść aplauz wśród młodzieży i nieskażonej brudem życia publiczności.

J.

„Pan z miljonami"

Rialto

Kino „Rialto" w ubiegłym sezonie wyróżniało się dodatnio starannym doborem wyświetlanych filmów, o czem nieraz już wspominałem, i życzliwym stosunkiem do prasy.

Bieżący sezon zapowiada się mniej interesująco. Dyrekcja kina chce zdyskontować zaufanie publiczności, zdobyte w ubiegłym roku i wyraźnie obniża poziom. Aby jednak publiczność niezbyt łatwo poznała się na rzeczywistej wartości wyświetlanych obrazów, przezorni przedsiębiorcy wyświetlają słabe filmy, ale zato z pierwszorzędnymi aktorami, licząc na atrakcyjną siłę znanego nazwiska i łatwowierność widzów, dających się nabrać na lep sprytnie pomyślanego, ogromnego ogłoszenia.

„Prawdziwa cnota krytyk się nie boi".

Tandeta, starannie ukrywana za bezczelnemi kłamstwami ogłoszeń, unika jak ognia słusznej oceny. Stąd też — zapewne — wy-

nika bardzo niemiłe ustosunkowanie dyrekcji kina do bezstronnych recenzentów.

„Pan z miljonami" to niesmaczny wybryk niefortunnego producenta. Columbia - Pictures stale odznaczała się niechlujnem opracowywaniem filmów, niestarannem tłumaczeniem djalogów i przesadną reklamą. A cóż mówi płatne ogłoszenie? „Genjusz ludzki stworzył wielkie arcydzieło!". Szukajmy *genjusza,* bo *arcydzieła* nie możemy się dopatrzeć.

Scenarzyście do genjalności, a nawet oryginalności, daleko. „Pan z miljonami" jest — mówiąc delikatnie — „transpozycją" słynnego francuskiego „Miljona". To, że poszczególne fragmenty różnią się od pierwowzoru, to, że film posiada inne nastawienie społeczne, nie zmienia tego pierwszego, istotnego wrażenia.

Reżyser, Franc Capra, stworzył wiele interesujących filmów, a dopiero za ten został obdarzony „genjalnością". Dlaczego? Czy dlatego, że film przypomina dom warjatów a od genjusza do warjata podobno niedaleko? Czy dlatego, że dobrał zespół tak popularnie znanych „mocnych „twarzy"? Nie, bo to jest raczej nieprzyjemne. Poza Gary Cooperem, którego popularność jest rzeczywiście ogromna, a uśmiech i sposób bycia rozbrajający, poza Joan Arthur, której pospolita standartowa uroda nie wyróżnia się niczem, a gra jest dziwnie nienaturalna, wszyscy inni — to „mocne twarze" — to typy z pod ciemnej gwiazdy, indywidua, których nikt nie chciałby spotkać „w ciemnej ulicy", kwadratowe pyski buldogów z ciężkiemi, potężnemi szczękami, twarze, proszące się, aby „bić i patrzeć czy równo puchnie".

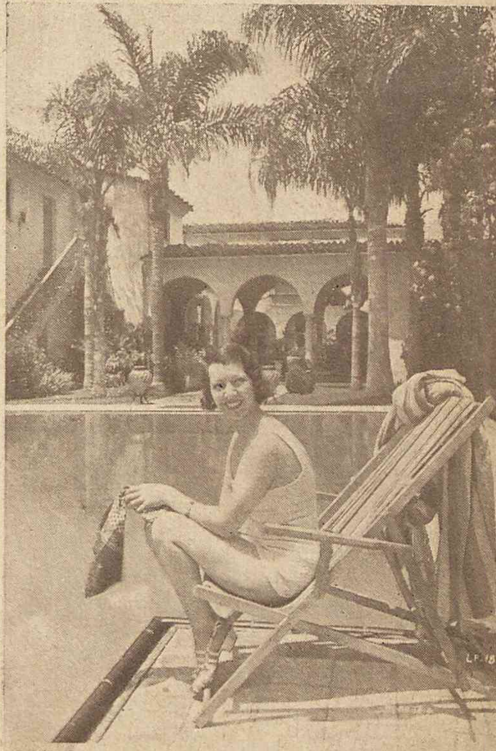
Gary Cooper, długi chłopak o czarującym uśmiechu nieswojo czuje się w tem towarzystwie. Zmuszony fantazją reżysera i scenarzysty do dziwnych wybryków w podejrzanych nocnych lokalach, traci naszą sympatję. Dla tak miłego aktora, to bardzo dużo.

Nie znam amerykańskich poetów i literatów, ale nie chce mi się wierzyć, żeby pokazani w tym filmie luminarze amerykańskiego parnasu musieli posiadać wstrętne żydowskie twarze i bynajmniej nie intelektualne zainteresowania.

Naiwny dziedzic 20 miljonów, członek orkiestry Mandrake Falls nie dał się nabrać intelektualistom, aferzystom i niebieskim ptakom. Rozdzielił swe miljony między bezrobotnych, głodujących farmerów i to mu dało zadowolenie. Ale został za to umieszczony w domu warjatów.

Szereg scen i obrazów na poziomie. Szereg scen robi wrażenie, ale mimo to film, jako całość, budzi bardzo poważne zastrzeżenia przez niejasne i zagmatwane łączenie akcji, przez niestaranne i niesmaczne przygotowanie i podanie szczegółów i bardzo nierówny poziom, sprawiający wrażenie niechlujnej łataniny.

J.



Lili Pons, śpiewaczka opery Metropolitan w New Yorku w filmie R. K. O. Radio p. t. „Kobieta zawsze ma rację".



Steffi Duna w najnowszym filmie kolorowym R. K. O. Radio p. t. „Tańczący Pirat".



REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa